

Artykuły i korespondencje, przeznaczone dla «Kraju», powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografie można przysyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnych rękopisów Redakcja nie zwraca; większe po upływie kwartału bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez administrację kwartalnie.

KRAJ

BIURO REDAKCJI otwarte, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 11 rano do 3 pop. ADMINISTRACJA od godz. 11 rano do 5 pop. Biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82 kanał Jekateryński. Telefonu № 11-75. Adres dla telegramów: Petersburg, «Kraj». Warszawski Oddział «Kraju» — Chmielna № 43. Telefonu № 190-51.

Og. zb. № 1647

Petersburg, 25 czerwca (8 lipca) 1909 r.

Rok XXVII № 25

Do naszych Czytelników

Okoliczności niezależne od redakcji zmuszają nas do zawieszenia na czas pewien naszego wydawnictwa z numerem niniejszym. Biura redakcji i administracji «Kraju» zostały przeniesione nad Kanał Kriukowa №№ 6—8.

Redakcja „Kraju“

Z BIEGIEM DNI

.... Komunikat urzędowy głosi, że wobec zbliżania się do stolicy szacha licznych oddziałów rewolucjonistów perskich, oraz wobec wątpliwości, czy brygada perska kozacka będzie w stanie stawić opór skuteczny, rząd rosyjski postanowił wysłać do Persji nowy oddział wojska (bataljon piechoty, pułk kozaków i baterję), w celu zarówno osłonięcia drogi z portu Enzeli na morzu Kaspijskiem do Teheranu, jak w celu obrony bezpieczeństwa i mienia ciała dyplomatycznego i w ogólności cudzoziemców w trapionym przez wojnę domową kraju. «Now. Wr.» już zauważyło, że oddział jest zbyt mały, by mógł wykonać w pełni swoje zadanie, że należy działać stanowczo, by nie narazić na szwank powagi mocarstwowej Rosji i odrazu zająć w Persji stanowisko przeważne. Przybycie do Petersburga namiestnika Kaukazu oraz nowo mianowanego posła w Teheranie p. Stanisława Poklewskiego-Koziell, i narada ministrów przy udziale osób wspomnianych — zdają się wskazywać, że sprawa perska staje na porządku dziennym, jako jedna ze spraw pierwszorzędnej wagi. Wymagać będzie ona zapewne zarówno szerszej akcji wojennej, jak zabiegów dyplomatycznych w celu usunięcia możliwych zatargów. Faktem zdaje się być niewątpliwym, że Turcja popiera ruch rewolucyjny perski, czego wskazówką jest choćby okoliczność, że ze wkroczeniem wojsk rosyjskich do Tebrizy, przywódcy ruchu rewolucyjnego

schronili się w konsulacie tureckim lub szukali ucieczki przeprowadzając się na wybrzeże zachodnie jeziora Urmijskiego, do zajętej przez wojska tureckie prowincji. Turcja niewątpliwie spoglądać będzie okiem niechętnym na zajęcie Persji północnej przez Rosjan, i to dać może powód do powikłań, nieobliczalnych w swych następstwach. Jakkolwiek bowiem komunikat rosyjski głosi, że Rosja nie ma najmniejszego zamiaru pozostawiania na długo swych wojsk w Persji, a przeciwnie, zamierza je wycofać, skoro tylko porządek będzie przywrócony, to wszakże przysłowie «człowiek strzela—Pan Bóg kule nosi» nie straciło na swej wartości. Wypadki są silniejsze od ludzkich zamierzeń, i częstokroć, raz przekroczywszy Rubikon, cofnąć się już nie można. Francja doświadczyła czegoś podobnego w Marokko, i tylko szczęśliwy bieg rzeczy sprawił, że uniknęła zatargu poważniejszego z Niemcami. Dość jednak i tego, że wydała na wyprawę kilkaset milionów franków i ugrzęzła w kraju szeryfów tak, że czuje się skrepowana w ruchach i końca tej ciężkiej próby nie widzi...

.... Niema dymu bez ognia, mówi przysłowie. Zaczynają się sprawdzać pogłoski o wycofywaniu z Królestwa rosyjskich sił zbrojnych. Po zniesieniu twierdz w tym kraju nadchodzi wiadomość, że znaczna część armji, stojącej dotąd załogami w Królestwie, opuszcza je, by rozlokować się w prowincjach środko-

wych państwa. Jedno i drugie ma przedewszystkiem znaczenie strategiczne zaniechania myśli o wojnie zaczepnej z sąsiadami od granicy zachodniej; powtóre, znaczenie polityczne, świadczące o nowej orientacji polityki rosyjskiej, która pragnie żyć w najlepszej zgodzie z cesarstwem niemieckim i dać temu pragnieniu wyraz przekonywający. Niemcy mogą liczyć na usposobienia pokojowe potężnej Rosji i nie obawiać się o swe granice od wschodu. Idea neutralności Rosji w możliwych zatargach europejskich stać się zdaje ideą kierowniczą gabinetu petersburskiego w chwili obecnej. Uwaga zwraca się ku Wschodowi, kędy tradycyjnie, pomimo zawodów, ale także z dużymi powodzeniami, zmierzała państwowość rosyjska, rozszerzając swe wpływy i panowanie aż po ocean Spokojny i po stoki Pamiru — «Dachu świata». Tkwi w tradycjach moc niepokonana, i trzeba pracy szeregu pokoleń, albo olbrzymich wstrząśnień dziejowych, by z nią zerwać można było. A i takie nadzwyczajne wysilenia i okoliczności niezawsze są zdolne zmienić kierunku dążeń ekspansywnych narodu, które zrastają się jakoś nierozzerwalnie z jego istotą...

.... «Now. Wr.» jest niewyczerpane w naginaniu faktów do swojej polonofobji. Z powodu zamierzonych przez Czechów odwiedzin wystawy w Częstochowie umieściło artykuł wstępny, obliczony przeważnie na nieświadomość swoich czytelników w sprawach słowiańskich w Austrii i galicyjskich w szczególności. Pisze tedy autor, że czesi wahali się długo, czy mają odpowiedzieć wycieczką do Częstochowy na zeszłoroczne wycieczki polskich kół przemysłowych i handlowych do Pragi czeskiej. Wahali się dlatego, że swoją polityką antysłowiańską (*sic!*) zohydzili się Polacy austriaccy w oczach całej słowiańszczyzny. Ostatecznie wszakże postanowiono jechać, by nie zrażać Polaków rosyjskich, wśród których rośnie poczucie solidarności słowiańskiej. Dobrze się stało — dodaje «Now. Wr.» — zwiedzając bowiem wystawę w Częstochowie, czesi będą mogli porównać dobrobyt Kró-

lestwa pod panowaniem rosyjskiem z «nędzą Galicji», tak jaskrawo zobrazowaną przez ś. p. Szczepanowskiego w broszurze pod tym nagłówkiem. «Now. Wr.» rozmyślnie zapomniało, że broszura pochodzi z przed lat dwudziestu kilku, i że jakkolwiek Galicja znajduje się w mniej pomyślnych warunkach gospodarczych, otoczona zewsząd bądź kordonem celnym, bądź krajami o rozwiniętym przemyśle, z którym współzawodnictwo jest nader utrudnione, to wszakże kraj ten poczynił od tego czasu olbrzymie postępy ekonomiczne, nie mówiąc już o postępie oświatowym i o życiu społecznym. Rozmyślnie również nie porusza «Now. Wr.» żadnego z zagadnień stosunków polsko-rosyjskich w zakresie polityczno-narodowym, wprowadzając w błąd swoich czytelników i dając wskazówkę, jak mają się zachowywać w sprawie stosunków czesko-polskich inne rosyjskie organy nacjonalistyczne i słowiańskie pisma zakordonowe im wtórujące (coraz zresztą rzadziej). Niepodobna dziś, po zjazdach neosłowiańskich, których wartość i znaczenie właśnie na tem polegały, oskarżać Polaków o zdradzanie słowiańszczyzny i zapewniać, że mają w Rosji wszystko, czego im potrzeba, wiedzą bowiem słowianie doskonale, że warunkiem najpierwszym żywotności i wzrostu idei słowiańskiej z udziałem Rosji jest polepszenie istniejących stosunków polsko-rosyjskich przez uznanie zasady równouprawnienia narodowości i wprowadzenie jej w życie w wielkim państwie rosyjskiem. Sprawa to, jak słusznie zaznaczyło «Słowo» petersburskie, bynajmniej nie «czysto wewnętrzna», jak chcą niektórzy, ale mająca znaczenie międzynarodowe polityczne, od jej albowiem rozwiązania w tym czy innym duchu zależy układ stosunków między państwami w Europie i kierunek polityki zewnętrznej rosyjskiej. Polacy są i będą lojalnymi obywatelami państwa, ale nie przestaną i nie mogą przestać, bez wyrzeczenia się samych siebie, domagać się dla swego narodu praw podstawowych, zabezpieczających mu pielęgnowanie własnego języka i kultury własnej, na którą złożyła się w ciągu wieków praca niezliczonych pokoleń, która jest dla nas świętością nietykalną i źródłem życiodajnym. I poza pracą, uwidoczniającą się w postępach rolnictwa, przemysłu i handlu, dojrzą czesi na wystawie w Częstochowie, że pomimo skrupowań i utrudnień zewnętrznych, bije to źródło z odwiecznego zbiornika, i że trzeba mu dać możność płynąć łozyskiem włas-

nem ku morzu cywilizacji wszechludzkiej.

W tych dniach «Rossija» podała bez komentarzy zaczerpniętą z «Suomalainen Kansa» («Naród finlandzki») wieść, jakoby urzędy żandarmskie otrzymały pewną wiadomość, że jacyś finlandzcy nabyli 30 łodzi motorowych w celu wysadzenia w powietrze jachtu «Sztandart». Wieść obiegła rosyjską prasę nacjonalistyczną z uwagami o zdradzieckości finlandczyków oraz o konieczności poskromienia tego narodu i zniesienia autonomii Finlandji. Cytata była nieścisła, bowiem «Suom. Kansa» umieścił rzekomą wieść, jako pomysł bezmyślny, nie mogący mieć cienia podstaw rzeczywistych. Gdy wytknięto to «Rossji», ta, po paru dniach namysłu, umieściła «sprostowanie» tego rodzaju, że urzędy żandarmerji doniesiły o zamierzonym zamachu łodzi finlandzkich nie otrzymywały. Tak sobie postępuje z prawdą dziennik, uchodzący za organ niemal urzędowy.

*
W Persji gmatwa się wszystko coraz bardziej. Hanowie bahtjarscy (plemie perskie najbardziej aryjskie), Seredar i Serdar-Asad stanęli ze swymi drużynami pod murami Teheranu. Brygada kozaków szacha, jakkolwiek dowodzona przez oficerów rosyjskich, nie jest w stanie stawić dłuższego skutecznego oporu. Z dnia na dzień nastąpić może wkroczenie bahtjarów i rewolucjonistów (fidajów) do stolicy, gdzie ludność burzy się i gdzie dźbiać się mogą w końcu rzeczy straszliwe, zagrażające bezpieczeństwu cudzoziemców, nie wyłączając misyj dyplomatycznych. Znamienna, że niektórzy ministrowie perscy wywiesili nad swymi domami flagi tureckie i oddali się w opiekę poselstwu tureckiemu.

Bank Towarzystw spółdzielczych

+ W połowie czerwca r. b. założyciele Banku Towarzystw spółdzielczych za pośrednictwem komisji spółdzielczej przy Towarzystwie popierania przemysłu i handlu rozesłali do spółdzielczych instytucyj kredytowych odezwę z zaproszeniem do wzięcia udziału w utworzeniu kapitału zakładowego mającego powstać Banku.

Wobec braku dokładnej statystyki, obejmującej wykaz wszystkich spółnot kredytowych, w chwili obecnej już czynnych, wobec tego, iż ciągle powstają spółnoty nowe, iż około komisji spółdzielczej grupują się spółnoty tylko jednego rodzaju (kredytowe), w jaknajszyszym zaś zorganizowaniu B. T. S. zainteresowany jest cały ogół naszych kooperatorów bez względu na zakres i kierunek swej czynności (rolne, wytwórcze, przewozowe, spożywcze i inne), niniejszem podaje się do wiadomości powszechnej co następuje:

1. Kapitał zakładowy B. T. S. określony został na milion rubli.
2. Wysokość jednej akcji (imiennej) wynosi 250 rubli.
3. Dwie akcje dają właścicielowi na walnem zebraniu akcjonariuszów prawo głosu decydującego.

4. Spółnoty mają prawo pierwszeństwa w nabywaniu akcji na sumę, nie przynoszącą ich kapitałów zakładowych.

5. $\frac{2}{3}$ (dwie trzecie) członków Rady i ich zastępców muszą być wybrane z pośród przedstawicieli spółnot.

6) Przed rozpoczęciem czynności Banku akcjonariusze muszą złożyć w Banku państwa w terminie wskazanym przez założycieli 50% należności za zamówione akcje.

7. Późniejsze opłaty należności określa przyszły Zarząd Banku.

Z powyższego wynika, iż B. T. S., nie tracąc ogólnego charakteru banków handlowych, ma na celu przede wszystkim obsługiwanie potrzeb wszelkiego rodzaju Towarzystw spółdzielczych.

Na to jednak, aby organizacja Banku mogła się odbyć możliwie dokładnie i szybko (przypuszczalnie już w końcu września), aby czynności Banku mogły się rozpocząć w ustawą przepisany terminie (najpóźniej 28 listopada r. b.) i aby Bank przez dobranie w zbytnej ilości kapitałów prywatnych swego zasadniczego rysu spółdzielczego nie zatracił, uprasza się wszystkich zainteresowanych, aby w imię własnego dobrze zrozumianego interesu zamówienia na akcje zechcieli nadsyłać jak najwcześniej do biura organizacyjnego B. T. S. Biuro to tymczasowo mieści się w lokalu komisji spółdzielczej w Warszawie, Chmielna 13—2, I piętro. Tam też zwracać się należy po wszelkie wyjaśnienia.

Statystyka gruntowa Galicji

Jeżeli Galicję nazywa się powszechnie krajem rolniczym, to niema w tem żadnej przesady, ani nawet niedokładności. Opierając się na cyfrach urzędowych, stwierdzić należy, iż co do obfitości gleby żaden z krajów koronnych monarchji nie może z naszym iść w porównanie. Z ogółu bowiem roli w monarchji przypada 37,55 proc. na Galicję; drugie dopiero miejsce zajmują Czechy z 24,68 proc.; trzecie Morawy (11,45); czwarte Austria Dolna (8,10). Z reszty krajów *maximum* przypada na Styryję (3,98), *minimum* na okręg trjesteński (0,01).

Jeżeli jednak weźmiemy za podstawę oceny stosunek gleby rolnej do całego obszaru, to Galicja zajmuje czwarte dopiero miejsce w rządzie krajów koronnych. Obszar bowiem rolny w Galicji zajmuje 3,799,878 hekt., czyli 48,41 całej powierzchni, gdy na Morawach odsetek ten wynosi 54,75 pr., w Czechach 50,47, a na Śląsku 49,37 proc.

Co do obfitości łąk Galicja, mimo, że ma, absolutnie biorąc, łąk najwięcej, bo 875,045 hekt., zajmuje w tym rejestrze dopiero siódme z rzędu miejsce, łąki bowiem stanowią nie więcej, jak 11,15 proc. jej całego obszaru.

Ogrodnictwo zamało stosunkowo pielęgnowane jest w naszym kraju. Oddano wprawdzie pod nie 108,818 hekt., więcej zatem dwukrotnie prawie, niż np. w Cze-

chach (69,363 hekt.), ale stanowi to ledwie 1,39 proc. ogólnego obszaru.

Co do pastwisk, to najbardziej obfituje w nie Dalmacja, Wybrzeże i Kraina, Galicja zaś stoi pod tym względem na 10. miejscu, jej pastwiska rozciągają się na przestrzeni 716,849 hekt., co stanowi 9,13 proc. całej powierzchni.

Hale, odgrywające tak ważną rolę w wypasie bydła górskiego, obejmują w Galicji 33,419 hekt. (0,42 pr. ogólnej powierzchni). Dla porównania nadmieniamy, że Tyrol ma ich 775,869 hekt. (26,49 proc. og. pow.), a Salzburg 207,403 hekt. (29 proc.).

Bogactwo leśne, niegdyś tak wielkie, skutkiem gwałtownej, przez długi lat szereg nieuregulowanej eksploatacji znacznie w Galicji podupadło. Około roku 1901 (wykazy urzędowe nie sięgają jeszcze dalej) miała Galicja 2,021,280 hekt. obszaru porośniętego lasami, co stanowi 25,75 proc. ogólnej powierzchni. Galicja tedy pod względem zasobności lasów zajmuje obecnie ostatnie miejsce w szeregu krajów koronnych.

Jeziora, stawy i moczary tworzą 0,27 proc. ogólnej powierzchni Galicji, nieużytki 3,48 proc. (273,154 hekt.). Cyfra to stosunkowo niewielka, jeśli uwzględnimy, że w tak wysoko pod względem kulturalnym stojących krajach, jak Austria Dolna i Górna, przewyższają odsetek w Galicji wykazany, tworzą bowiem 7,39 i 3,61 proc. .

Rozmieszczenie różnych kategorii gleby uprawnej w różnych okolicach kraju przedstawia się następująco:

Absolutne *maximum* roli wykazano w okręgach szacunkowych: Złoczów (98,013 hekt.) i Brody (83,526 hekt.). Najwięcej jednak roli w stosunku do ogółu powierzchni posiadają okręgi: Zbaraż, Horodenka i Tarnopol. Górskie okręgi Kosów i Nadwórna zajmują w tym wykazie miejsca ostatnie.

Natomiast okręg szacunkowy Kosów obfituje w łąki i pod tym względem zajmuje pierwsze miejsce, 39,140 hekt.; najbardziej zbliżają się doń pod tym względem okręgi górskie: Stryj (37,001 hekt.) i Nadwórna (33,797 hekt.). Procentowo przodują wszakże pod tym względem okręgi: Bohorodczany i Żółkiew.

Co do ogrodów, to absolutne pierwszeństwo należy się okręgom: Złoczów (4,609 hekt.) i Horodenka (3,126 hekt.). W stosunku do swej powierzchni mają najwięcej ogrodów (poza stołecznymi miastami Lwów i Kraków), okręgi szacunkowe: Horodenka, Buczaczy i Trembowla. *Minimum* przypada na okręgi: nowotarski, liski, niski i tarnobrzesci.

Daleko w tyle pozostawia za sobą wszystkie powiaty co do obfitości pastwisk okręg kosowski, gdzie zajmują one 32,439 hekt., czyli 17,1 proc. og. pow. W tym samym powiecie znajduje się *maximum* polonin (13,981 hekt.).

W jeziora, stawy i moczary najbogaciej wyposażyla natura okręgi: Rudka

(2,186 hektarów), Gródek (1,797 hekt.) i Tarnopol (1,270 hekt.).

Okręgi szacunkowe Dolina i Nadwórna zawierają w sobie największe bogactwo lasów. W Doliniańskim porastają one przestrzeń 151,210 hekt., co czyni 60,2 proc. og. pow. powiatu; w Nadwórniańskim zaś utrzymały się lasy na przestrzeni 110,610 hekt. *Minimum* zalesienia wykazują okręgi Horodenka i Śniatyń.

W Nowotarskiem leży odlegiem 4,415 hekt. ziemi, jako nieużytki; w Nadwórniańskim 2,131 hekt. Są to cyfry maksymalne.

Obliczenia z dziesięciolecia 1894 — 1905 wykazują, że najwięcej roli pod zasiew, bo 706,913 hekt., czyli 18,60 proc. z jej ogółu oddano pod żyto. Artykułu też tego żaden inny z krajów koronnych nie wyprodukował tyle co Galicja, która w owym okresie zbierała corocznie w przecięciu 6,797,265 centn. metr.

✦ Wydział krajowy królestwa Galicji i Lodomerji z W. Księstwem Krakowskiem ma zaszczyt podać do wiadomości, że w myśl postanowień aktu fundacyjnego, zarządza powtórne ogłoszenie **konkursu** na premje dla literatów polskich z fundacji **Franciszka Kochmanna**. Do konkursu dopuszczone są dzieła autorów polskich, w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej, ogłoszone drukiem w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Nagrody są dwie: jedna w kwocie 2,000 (dwu tysięcy) koron; druga w kwocie 1,000 (tysiąca) koron. Termin do nadsyłania dzieł na konkurs upływa z dniem 31 grudnia 1909 r. Ocenieniem dzieł i przyznaniem nagród zajmuje się komisja konkursowa przez Wydział krajowy powołana.

Poznań, 3 lipca

‡ W ciągu dni ostatnich uwaga ogółu naszego zwrócona była w stronę Berlina, ku garstce posłów naszych, którym po raz pierwszy po wielu latach przypadło w udziale odegrać rolę bardzo wybitną. Chodziło na ten raz nie o obronę naszych praw narodowych, lecz o sprawę ogólnopolską, pierwszorzędnej wagi dla całych Niemiec, od której poniekąd zależą dalsze losy rządów ks. Bülowa. Dzięki przypadkowemu ustosunkowaniu się sił parlamentarnych, Kołu naszemu przypadł głos decydujący w głównej sprawie reformy finansowej, czyli ściślej mówiąc, w sprawie nowego podatku od spadków, na którym ks. Bülow oparł cały swój projekt reformy.

Zręczny, a przede wszystkim niezmiernie giętki dyplomata, ks. Bülow na ten raz nie umiał przewidzieć, jakie skutki wywoła zamierzona przez niego reforma. Dopóki bowiem chodziło o ustawy antypolskie, większość parlamentarna głosowała w imię solidarności «pań-

stwowej» za rządem, niezależnie nawet od przekonań i hasel partyjnych. Inaczej, gdy poszło o własne interesy i o własną kieszeń posłów oraz reprezentowanej przez nich ludności. Oslawiony «blok», na którym ks. Bülow budował gmach swej polityki, jak na twardym granicie, okazał się jeno piaskiem lotnym, po którym, gdy wiatr dmuchnął, nie zostało ani śladu. Za wnioskiem rządowym głosowali (o dziwo!) socjaliści, stronnictwo wolnomyślne, oraz narodowi liberałowie, zawsze służąc wierni rządowi. *Przeciw* głosował nowo utworzony blok, składający się z centrowców, konserwatystów oraz polaków. Los tak zrzucił, że wnioski rządowe odrzucone zostały właśnie głosami Koła polskiego.

Dla nas cała ta sprawa ma znaczenie podwójne: polityczno-taktyczne, oraz ekonomiczne. Odrzucenie podatku od spadków przez parlament jest *volunté* nieufności, jakie większość narodu wypowiedziała ks. Bülowowi i jego rządowi. Oznacza to, że system ks. Bülowa dopóty cieszył się pozorną sympatją narodu, dopóki chodziło o sprawy stosunkowo drobne, ale przy pierwszej poważnej próbie poniósł klęskę stanowczą. Ks. Bülow tak dalece zaangażował się w sprawie podatku, iż cofnąć się może z trudnością. Pozostawałoby mu albo złożyć rzady lub prosić cesarza o rozwiązanie parlamentu. Ostatni ten środek, jakkolwiek przedłużyłby o kilka miesięcy istnienie obecnego gabinetu, byłby jednak bardzo niebezpieczny.

Nowe wybory pod hasłem ustaw podatkowych prawdopodobnie dałyby zwycięstwo demokratom socjalnym. W takim zaś razie upadek ks. Bülowa również byłby nieunikniony, ponieważ kanclerz cieszy się na lewicy jeszcze mniejszymi sympatjami aniżeli na prawicy. Tak to bywa, gdy ktoś na dwóch stołkach pragnie siedzieć.

Co do nas, rzady ks. Bülowa tak otwarcie były dla nas wrogie, że upadku jego nie będziemy oplakiwali. To jest strona polityczna tej sprawy.

Co się tyczy strony taktycznej, to ostatnie głosowanie Koła polskiego bardziej jeszcze zacieśniło więzy, które je oddawna łączyły z centrum katolickim. Ponadto nawiązane zostały pewne nici między Kołem a konserwatystami. Wprawdzie stronnictwo to występowało dotychczas najczęściej przeciwko polakom, jednak czyniło to raczej przez posłuszeństwo dla tronu i w każdym razie zaciekleścią nie dorów-

nywało burżuazyjnym narodowym liberałom. Były nawet wypadki, np. podczas głosowania nad ustawą o wywłaszczeniu w Izbie wyższej, że część konserwatystów wystąpiła w obronie polaków. Pominawszy zresztą te względy, najważniejszym pozostał ten fakt niewątpliwy, że polacy, którym tylokrotnie zarzucano rewolucyjność, stanęli w jednym szeregu z zachowawcami, podczas gdy rząd razem z socjalistami i innymi przewrotowcami pozostał w mniejszości. Polacy nie są i nigdy nie byli żywiołem wrogim państwu i porządkowi, są tylko przeciwnikami obecnego rządu i jego awanturniczej polityki.

Co do strony ekonomicznej sprawy, miała ona i dla ludności polskiej pierwszorzędne znaczenie. Przedstawiciele nasi w parlamencie, obrońcy zarówno idealnych, jak materialnych dóbr naszych, nie mogli inaczej postąpić, jak tylko głosując przeciwko wnioskowi rządowemu. Zarzuty, jakie Koło naszemu robi prasa gadzinowa, jakoby głosowało z centrum i z konserwatystami jedynie w celu obalenia ks. Bülowa, są całkiem niesłuszne.

Polacy pod berłem pruskim skrepowani są nietylko pod względem narodowościowym, lecz i ekonomicznym. Przemysł nasz i handel walczyć muszą z niesłychanymi trudnościami. O zdobywaniu nowych placówek, o szybszym wzroście dobrobytu ogólnego, niestety, mowy być nie może. Z konieczności praca nasza w większości wypadków ograniczyć się musi do tego, by utrzymać w całości to, cośmy po przodkach odziedziczyli. Zasada ta stosuje się zarówno do przedstawicieli przemysłu i handlu naszego, jak do tej licznej u nas warstwy ziemiańskiej, stosuje się zarówno do właścicieli latyfundi, jako też do włościanina, który w pocie czoła uprawia kilkomorgowe gospodarstwo, odziedziczone po ojcach.

Na głowy tych spokojnych, zachowawczych żywiołów upaść miał nowy, niezmiernie dotkliwy ciężar w postaci podatku od spadków. Za takim podatkiem głosować mogli przedstawiciele bezdomnego proletariatu, przeciwnicy własności osobistej — socjaliści; nigdy zaś Koło polskie. Dlatego wynik ostatniego głosowania jest dla nas tryumfem po tylu dotkliwych klęskach, jakie nas spotykały za rządów ks. Bülowa.

Ciekawym przyczynkiem, do jakich absurdów doprowadza w praktyce ustawa o używaniu języków «obcych» na zgromadzeniach publicznych, są stosunki, jakie panują

w niektórych powiatach na Śląsku. Oto np. w powiecie raciborskim Niemcy stanowią zaledwo 10 proc. ogółu ludności, która się składa z 45 proc. polaków i 45 proc. morawian. Ponieważ jednak ustawa przepisuje, że język «obcy» dopuszczony jest na zebraniach tylko w takich powiatach, gdzie ludność obca wynosi 60 proc., w danym zaś wypadku ani polacy, ani morawianie z osobna sześćdziesięciu procentów nie stanowią — przeto władze miejscowe nie dopuszczają na zgromadzeniach innego języka, oprócz niemieckiego, mimo, że np. w 4 gminach powiatu niema ani jednego Niemca, w innych zaś 4 gminach tylko po jednym. Sprawę tę poruszył w Sejmie pruskim poseł Niegolewski, jednak bez skutku, gdyż minister uznał rozporządzenie władz miejscowych za słuszne, Izba zaś postanowiła przejść nad interpelacją do porządku dziennego.

A oto drugi przykład niemal humorystyczny.

Grono młodzieży poznańskiej odbyło wycieczkę nad Gopło do «Myszej wieży». Po zwiedzeniu tego zabytku średniowiecznego budownictwa, gromadka rozsiadła się wesoło na zielonej murawie, by odpocząć i posilić się przywiezionymi z domu zapasami. Tymczasem miejscowy wikary ks. Pause, który oprowadzał gości po wieży, zamierzał wypowiedzieć kilka słów objaśnienia o historycznym znaczeniu tego zabytku i o legendach, jakie krążą wśród ludu. Naraz, jak z pod ziemi, wyrósł żandarm pruski w towarzystwie jeszcze dwóch urzędników i zażądał «pozwolenia na odbycie zebrania». Gdy mu odpowiedziano, że tu się nie odbywa żadne zgromadzenie, że ks. wikary, jako oddawna tu zamieszkały, zamierzał dać kilka objaśnień co do ciekawego zabytku przeszłości, żandarm oświadczył, że takich objaśnień nie daje się siedząc, lecz tylko stojąc lub chodząc i oglądając zabytek. Trzeba było poddać się woli zwierzchności. Całe towarzystwo wstało ze śmiechem, rozpoczął się uroczysty pochód w koło wieży, podczas którego ks. Pause wypowiedział swe objaśnienia.

Tymczasem między dwoma kmiotkami, którzy na swych furmankach przywieźli gości i z pewnej odległości przyglądali się całej tej scenie, rozegrał się dialog następujący: «Co to znaczy?» — spytał starszy woźnica. A drugi (zuch chłopak w maciejówce) odpowiedział naiwnym a wiele mówiącym głosem: «Ano widzisz, oni się boją, żeby ci panowie nie urządzili tu powstania!»

W celu propagandy nienawiści rasowej hakatysci wydali w ciągu lat ostatnich szereg cały broszur o zabarwieniu tendencyjnym antypolskim.

Tak zwana literatura kresów wschodnich w języku niemieckim jest tak obfita, że możnaby z niej ułożyć niemal całą bibliotekę. Karmini się nią społeczeństwo niemieckie i urabia się na niej opinia. Tem ważniejsze jest dla naszej publicystyki zadanie obalania fałszów, które o nas rozpowszechniają wydawnictwa hakatystyczne. Oczywiście do społeczeństwa niemieckiego przemawiać należy w inny sposób, aniżeli do naszego, innych używać argumentów i przede wszystkim mówić w języku niemieckim. Znany nasz publicysta p. Franciszek Morawski ogłosił broszurę p. t. «*Der kommende Tag*». Broszura ta zwraca się do społeczeństwa niemieckiego, a w szczególności do niemieckich zachowawców, którzy, uchwalając ustawę o wywłaszczeniu, pogwałcili podstawowe zasady konserwatyzmu.

Autor stawia rzecz na szerszym tle. Przedstawia wywłaszczenie w związku z ruchem socjalnym i przewrotowym w Niemczech, wykazuje, jak szybko postępuje przemiana pojęć. Niemcy dzisiejsze to nie spokojne i korne społeczeństwo przed jeszcze 20 laty. To kraj, którego opinie urabiają setki większych i mniejszych Hardenów.

Jest jeszcze jeden filar potężny, na którym opiera się konserwatyzm niemiecki—filarem tym jest wielka własność ziemska. Na nim oparci, są dotąd junkrowie niezwycezeni, on daje im wpływ na ludność i podpierają obecny ustrój państwowy. Ten filar został wstrząśnięty w swych podstawach przez ustawę o wywłaszczeniu. Ustawa wymierzona była przeciwko polakom, — tymczasem, choć jej jeszcze w czyn nie wprowadzono, zaczyna się rysować gmach konserwatyzmu niemieckiego.

P. Morawski wskazuje na szereg objawów znamienych, na głosy postępowej prasy niemieckiej, która coraz częściej i wyraźniej mówi o wywłaszczaniu własności ziemskiej w ogólności, na ruch wśród kolonistów niemieckich, jaki objawił się na zgromadzeniu gnieźnieńskim i na wzrastający wpływ socjalizmu. P. M. pisze spokojnie, rzeczowo, waząc słowa, i ten właśnie jego obiektywizm podwaja wartość broszury.

D—ski

Wychodźstwo polskie do Brazylii i kolonie rolnicze w Paranie

Kolonje polskie istnieją w Brazylii w stanach: Parana, Rio Grande do Sul, S-ta Catharina i Sao Paulo, gdzie są wielkie plantacje kawy, a daje się odczuwać brak rąk roboczych. Fazendejry (plantatorów) paulistańscy czynią wszelkie wysiłki dla przyciągnięcia kolonistów polskich do swych plantacji. Pierwotnie założono tam pismo polskie «Dzwon», którego kilkaset egzemplarzy rozsyłano do innych kolonij polskich w Brazylii i do Europy, ale ta próba zawiodła. Zamknięto przeto «Dzwon» i założono agencje emigracyjne w Antwerpii, oraz podagencję w Krakowie, nazwaną «Opatrzność», a która otrzymała koncesję w Austrii i energicznie popiera sprawę wychodźstwa polskiego do Sao Paulo.

Głównym przeciwnikiem «Opatrzności» jest lwowski «Przegl. Emigracyjny», który się zawsze trzymał zasady, że wychodźstwo polskie powinno w miarę możliwości skupiać się w Paranie.

Centralne Tow. rolnicze w Królestwie Polskim i w Galicji wydelegowały p. L. Włodka do Brazylii dla zbadania nowych terenów kolonizacyjnych i obecnego stanu ekonomicznego kolonij polskich w Paranie.

Streszczenie sprawozdania p. Włodka, pomieszczonego w «Ekonomiście», podajemy.

Z zastrzeżeń, zawartych w ustawie kolonizacyjnej, że mieszkańcy miejscowi mogą pretendować tylko do 10 proc. ilości działek kolonizacyjnych, widoczna, że rządowi związkowemu chodzi o przybyszów z Europy.

Po przyjeździe emigrantów do Rio Janeiro, małe statki odwożą ich na wyspę kwiatów (Ilha das Flores), gdzie jest dom emigracyjny, przygotowany na 500 osób. Uderza więc na razie nieprzygotowanie Brazylii do wielotysięcznej emigracji, o którą się zresztą wszelkimi sposobami stara i dąży do jej sztucznego wywołania.

Wprawdzie założone są już fundamenty nowych gmachów emigracyjnych, ale z nich korzyść będą mieli przyszli wychodźcy. Emigranci sypiają na ławach drewnianych, pokrytych matą palmową, żywni są dobrze. W domu emigracyjnym mogą pozostawać w zasadzie krótko, tylko dla załatwienia formalności niezbędnych. Wyzyskiwani są straszliwie przy zmianie pieniędzy.

Sprawami kolonizacji związkowej kieruje dyrektor wydziału zaludnienia, p. Gonçalves. Jest to wydział min. robót publicznych i rolnictwa.

Na czele kolonizacji parańskiej stoi sekretarz stanu do robót publicznych, rolnictwa i kolonizacji, p. Beltrao. Nieustrudzoną opieką otacza wychodźstwo polskie konsul austro-węgierski p. Zdzisław Okęcki.

Obszar Parany obejmuje 240 tys. klm. kw. Z tego blisko połowa przypada na ziemię dotąd niezbadane. Reszta jest przeważnie lesista. Klimat jest różny: w pasie nadmorskim gorący i roślinność podzwrotnikowa, wyżej ciepły i nawet umiarkowany. W takim klimacie

wszystko się może udawać, tylko przeskodę ku temu dziś jeszcze stanowi niska kultura rolna. Parana jest krajem wyłącznie rolniczym, a główną uprawę stanowią plantacje herwy mate (herbaty paragwajskiej). Przemysł reprezentują tartaki i eksploatacja lasów, garbarnie, gorzelnie, browary; wszystkie zatrudniają jeszcze względnie małą ilość robotników.

Jakiem może i powinno być rolnictwo w Paranie, dowodem jest pole doświadczalne, utrzymywane przez rząd o 4 klm. od Kurytyby, a założone w roku 1906. Obejmuje ono 123 hekt. obszaru, częściowo tylko uprawianego. Kieruje robotami dyrektor — siły robocze stanowią 5 ludzi. Inwentarz: 4 konie, muł, 2 krowy. Narzędzia i maszyny najnowszych typów. Ziemia jest częściowo nawożona, płodozmian europejski. Na sporym obszarze zasiane są różne trawy i rośliny pastewne. Ścierniska po życie, pszenicy, jęczmieniu, owsie i kartofliska porastają same soczystą trawą, która daje obfity pokos, a następnie, zorana, stanowi nawóz naturalny. Zboża udają się znakomicie, jak również rośliny oleiste, zwłaszcza olbrzymie rycinusy, których owoc dobrze się opłaca, słoneczniki z nasion sprowadzonych z Rosji, wreszcie wszystkie gatunki grochów.

Ale gdzie się widzi skutki kultury rolnej przy błogosławnym klimacie, to w sztucznych lasach eukaliptusów, jodeł, kasztanów, zasadzonych dla zabezpieczenia ogrodów przed wiatrami od morza i gór Serra do Mar. W ogrodach pełno prześlicznych kwiatów, jarzyn i wspaniałych owoców w młodzieńskim jeszcze sadzie.

W porównaniu do pola doświadczalnego gospodarstwa naszych kolonistów wyglądają jeszcze dość ubogo, ale i one dają nie tylko utrzymanie porządne, ale nawet zyski, które mogłyby być znacznie większe, gdyby nie brak komunikacji. W niektórych kolonjach Parany, np. w Rio-Claro, stan gospodarstwa jest na ogół daleko lepszy; niektóre są wprost wzorowe. Niejaki Jan Cieślak, rodem z gub. płockiej, zakupił obecnie 292 hr (=584 mg.) ziemi, a dorobił się tego tylko z gospodarstwa na roli.

Podniesienie rolnictwa i wzmocnienie zamożności producentów rozwinię się w zależności od rozwoju ruchu współdzielczego, celem wspólnego nabywania narzędzi rolniczych i hurtowej sprzedaży produktów rolnych.

Z NAD NIEMNA, 21 czerwca

[Kółko słowiańskie a uniwersytet wileński. Akademia żydowska. Nowy kierunek «Kurjera Litewskiego» w oświetleniu «Wil. Wiestnika».

==== Kółko słowiańskie, mające powstać w Wilnie, roztropnie poczyną, zasięgając w Petersburgu języka, co można a czego nie można robić. W sprawie uniwersytetu dano wskazówkę, że zajmowanie się sprawą założenia w Wilnie uniwersytetu w chwili obecnej jest rzeczą najzupełniej bezużyteczną. O ziemstwie rozprawić wolno. Pomimo to, niektórzy obstają, aby nowa rada miejska, natychmiast po jej ukonstytuowaniu, pchnęła dalej prace komisji uniwersyteckiej choćby dla samej ciekawości, co z tego będzie.

Komisja większą część swej pracy już zresztą wykonała. Typ uczelni i fakultety, jako też *locum*—uchwalono. Pozostaje część najgłośniejsza, od której praktyczni ludzie radzili zacząć—mianowicie: środki materialne.

Gdy potrącono o tę materję, nieprzyjaciele sprawy uśmiechnęli się i czekają jak dalej się potoczy. Ministerstwo niedwuznacznie, pokilkakroć uprzedzało, że pieniędzy na ten cel nie da, że społeczeństwo samo powinno temu podolać.

W zamian za uniwersytet wileński, organizuje się w Wilnie komitet popierania Akademii... żydowskiej. Inicjatorem pomysłu jest D. Ginzburg, syn znanego i niedawno zmarłego bar. Ginzburga. Przed kilku dniami bawił w Wilnie w celu zaznajomienia miejscowego społeczeństwa żydowskiego z istniejącymi w Petersburgu kursami znawstwa Wschodu. Kursy te zostały zatwierdzone przez rząd; celem ich jest badanie piśmiennictwa żydowskiego i historii na podstawie źródeł oryginalnych; na kursach odbywają się wykłady przedmiotów pomocniczych: języka arabskiego, filozofji, religji i t. p. Bar. G. powziął myśl przeistoczenia kursów w Akademię nauk żydowskich i uczynienia jej żydowskim ogniskiem kulturalnym. Zadanie Akademii będzie dwojakie: naukowe i praktyczne. Naukowe, w znaczeniu stworzenia ogniska naukowego, gdzieby uczeni żydowscy mieli możliwość i wykładać sami i przygotowywać się do kariery naukowej; praktyczne — przygotowanie kandydatów na stanowiska rabinów i kaznodziei. Społeczeństwo żydowskie w Wilnie bardzo sympatycznie przyjęło ten projekt.

Z powodu wyznania wiary redakcji «Kurj. Litewskiego» przy nowym składzie wydawców, «Wil. Wiestnik», ironizuje na swój sposób, udając, że nie rozumie o co chodzi. Nazywa obecny kierunek «Kurj. Lit.» posunięciem się na prawo i upatruje w tem niezgodność z dawniej uprawianą przez «Kurjer» obroną polszczyzny. Na dowód przytacza słowa inkryminowanego artykułu «Wyraźne słowa». W artykule tym znajduje się zdanie: «Jesteśmy przedmiotem ciągłych oskarżeń i napaści, dochodzących w skażonym kształcie do stóp Tronu i przeszkadzających rosyjskiemu narodowi powziąć bezstronny sąd o polakach. Całe chmary awanturników politycznych dążą do tępienia wszystkiego co polskie... Stojąc na gruncie państwowości rosyjskiej, polacy będą nadal zwracać się ze swymi potrzebami ku dwóm kierowniczym siłom: ku Monarsze i rosyjskiemu społeczeństwu». Trudno w tych słowach upatrywać wyrzeczenia się obrony polszczyzny. Natomiast jasno, jak na dłoni, czego się żąda «Wil. Wiestnik». Oto pod wyrazem «społeczeństwo rosyjskie» «Kur. Lit.» rozumie tę część narodu rosyjskiego, która współczuje polakom, nie zaś biurokracji. Tu pies pogrzebany.

Flis

==== Szawle. Odbyło się tu niedawno roczne zgromadzenie Tow. mleczarskiego «Biruta». Ze sprawozdania okazuje się, że Tow. liczy członków 67, kapitału udziałowego posiada 3,350 rb., kapitału rezerwowego

1,705 rb. Celem podniesienia jakości masła, Tow. utrzymuje dwóch instruktorów mleczarskich (pobierających po 1,050 rb. pensji). Masło sprzedane w Danji dało 37,3 kop. za funt, w Berlinie 36,4 kop., w Londynie 40 kop., na wewnętrznych rynkach 41,89 kop. loco mleczarnia. Mleczarnie wielkie parowe brały ceny wyższe, tak na przykład najlepsza mleczarnia całoroczną swą produkcję sprzedawała za pośrednictwem «Biruty» po 42 kop. za funt loco mleczarnia. Tow. pobiera za pośrednictwo bardzo małą opłatę na opędzenie kosztów, na gażę dla instruktorów i wydatki przy prowadzeniu interesu. Na posiedzeniu odczytano referat instruktora Emblicka o związkach kontroli i o indywidualnym karmieniu krów.

Poniewież. Odbyła się popularna doroczna wystawa rolnicza. Najdostatniej obeszany był dział bydła rogatego, na który złożyło się kilka renomowanych obór, niemniej interesujące były działy koni zaprzęgowych i roboczych, chlewnia, okazy gospodarstw włościańskich, wyroby przemyśle domowego. Wyroby wełniane Anny hr. Mohlówny wybitnie się odznaczały. Dział maszyn rolniczych przedstawiał wielką różnorodność okazów różnych firm z dalszych i bliższych stron kraju i zagranicy. Między innymi były pługi włościańskie kowala poniewieskiego p. Indrułajtisa. P. Narzyski miał odczyt o mleczarstwie; na posiedzeniu komitetu hodowli bydła rasy holenderskiej rozważano sprawę założenia związku kontroli obór. P. E. Römer zwracał uwagę, że przy towarzystwie «Biruta» istnieje już podobna organizacja.

KIJÓW, 19 czerwea

[Pomoc studentom-polakom. Liga pokoju. Nowe Stow. polskie].

□ Weiaż wzrastające potrzeby materialne uczące się młodzieży polskiej w Kijowie oddawna wymagały zaspokojenia. Dziś powstało «Towarzystwo niesienia pomocy studentom-polakom uniwersytetu kijowskiego». Tow. zwróciło się do wszystkich współczujących celom i zadaniom nowego stowarzyszenia z prośbą o udział w pracy zbiorowej i o poparcie w wykonaniu zadań następujących: udzielania potrzebującym studentom-polakom zapomóg jednorazowych lub perjodycznych, udzielania im pożyczek bezprocentowych krótkoterminowych lub bezterminowych, fundacji stypendjów, urzędzenia bezpłatnych lub płatnych jadłodajni dla studentów, dostarczania bezpłatnej lub taniej pomocy lekarskiej i wreszcie wyszukiwania pracy, któraby mogła zapewnić młodzieży utrzymanie w czasie pobytu na uniwersytecie. Dla pomnożenia swych zasobów pieniężnych zarząd Tow. ma prawo urządzać odczyty, wykłady, bale, widowiska, koncerty i t. d.

Dużo mówi się w Kijowie o zorganizowaniu tu Tow. przyjaciół pokoju (ligi pokoju). Towarzystwo—jak mówił jeden z jego organizatorów, prof. Afanasjew—stawia sobie za zadanie zjednoczenie wszystkich, którym chodzi o ideę pokoju międzynarodowego oraz wewnętrznego w państwie. Zwłaszcza dziś, kiedy w świadomości ludzkiej nastąpiło zaciemnienie idei prawa i sprawiedliwości, powstanie podobnego Towarzystwa na horyzoncie kijowskim jest ze wszechmiar godne uznania.

Komisja gubernialna do spraw związków i stowarzyszeń zatwierdziła nowe stowarzyszenie polskie «Kijowski polski

klub przemysłowo-techniczny», o którym pisałem w jednej z poprzednich korespondencji. A. O.

□ **Kijów.** Tutejsze rz.-katol. Tow. dobroczynności zamierza zabrać się do odnowienia lokalu swego biura oraz domu pracy pod wezwaniem św. Wacława. Redaktora gazety «Kij. Wiesti» p. Leona Radziejewskiego, za umieszczony w tej gazecie artykuł p. t. «W katorżnych więzieniach», skazano w drodze administracyjnej na 300 rb. kary.

KOLONJE POLSKIE W CESARSTWIE

☞ **Z Charkowa** piszą do nas: Zakończenie roku szkolnego zostało tu nieco przyspieszone z powodu epidemii tyfusowej, która poczęła grasować zwłaszcza wśród młodzieży. W licznych tutejszych średnich zakładach naukowych ukończyli kurs gimnazjalny następujący katolicy polacy: Baliński Jerzy, Brunak Kazimierz, Dymmel Józef, Gutowski Antoni, Jankowski Florjan, Kojrowicz Stanisław, Morzycki Ludwik, Openchowski Wiktor, Rejnhart Walery, Sakowicz Piotr, Jer Andrzej, Welner Włodzimierz (czech), Wachowski Wiktor, Werakso Aleksander, Wiórkowski Aleksander, Zakrzewski Stanisław, Zienkiewicz Stanisław.

W żeńskich zakładach ukończyły kurs następujące katoliczki i polki: Etinger Marja, Engel Róża (niemka), Fertner Halina, Holeczek Marja (czeska), Górkowska Eulagja, Grzymska Celina, Jakobs Władysława, Karśnicka Helena, Klein Rozalja (niemka), Krzyżanowska Marja, Łukowicz Jadwiga, Majewska Wanda, Mutti Eleonora (włoszka), Paszyc Eugenja, Rokicka Pelagja, Rozenblum Wanda, Szeic Zofja, Szyplik Wanda, Zawistowska Jadwiga, Zienkiewicz Jadwiga.

W Sumach, powiatowem mieście gubernialnym, ukończyli gimnazjum następujący katolicy polacy: Galecki Stanisław, Sielanko Mieczysław, Urbanek Kazimierz; katoliczki polki: Dynowska Stanisława, Marzecka Wanda, Protosawicka Marja, Starańczak Zofja. X.

KRONIKA

Urzędowa

☞ *Najjaśniejsi Państwo* z Najdostojniejszymi dziećmi raczyli powrócić z pobytu wśród skarów fińskich do Peterhofu.

☞ Najjaśniejszy Pan raczył przyjąć w Petersburgu nadzwyczajnego posła chińskiego *Tai-hun-Tse*, który miał zaszczyt przedstawić Jego Cesarskiej Mości innych członków poselstwa.

☞ Minister sprawiedliwości p. *Szczegłowitow*, udając się na urlop, zlecił pełnienie swych obowiązków senatorowi *Lütze*.

☞ Ministerstwo rolnictwa postanowiło zwiększyć etat techników, urządzających *wzorowe kolonje włościańskie*.

☞ Przybył do stolicy *namieśnik Kaukazu*, ks. Woroncowa-Daszkowa, dla wzięcia udziału w naradach w sprawie perskiej.

☞ Członek Rady min. rolnictwa, znany ze swych prac hydrologicznych, zwłaszcza z osuszenia bagien poleskich, *jen. Zyłiński*, otrzymał z powodu stanu zdrowia dymisję z rangą generała brygady.

Więści i pogłoski

○ Poruszono sprawę zniesienia formalności nabywania paszportów rosyjskich i oględzin celnych dla podróżnych, udających się koleją syberyjską bezpośrednio do Chin.

Ogólna

△ Ofiarą mordu, dokonanego w celu grabieży padł w swem lotnisku w Sablino pod Petersburgiem *jen. Wali-han*, prezes i założyciel mużulmańskiego Tow. dobroczynności.

△ We wtorek powrócił z wycieczki do Anglii prezes Dumy państwowej p. *Chomiakow*. Powitało go na dworcu grono dziennikarzy.

△ Otwarto w Petersburgu pierwszą w Rosji szkołę tresowania *psów policyjnych*.

△ We wrześniu odbyć się ma w Petersburgu międzynarodowy *kongres lekarzy-ginekologów*. Prezesem komitetu jest prof. *Ott*.

△ W tych dniach otwiera się w maneżu Michajłowskiu *wystawę browarniczą*.

△ *Cholera* w Petersburgu szerzyć się zaczyna wśród warstw zamożniejszych. Ilość ogólna zaslabnięć wynosi dziennie przeszło sto. W szpitalach liczba chorych na cholere dobiegła cyfry 860.

Oświatowa

● Ministerstwo oświaty opracowało wniosek, wedle którego *kobiety*, kończące wyższe zakłady naukowe, składać mogą narówni z młodzieżą męską egzaminy przed komisjami szczególnymi z nauk histor.-filologicznych i fiz.-matematycznych, oraz z medycyny. Po złożeniu egzaminów kandydatki otrzymują prawo wykładania w średnich zakładach naukowych (w męskich tylko w czterech niższych klasach), albo prawo praktyki lekarskiej.

Sądowa

◎ Senat zniósł wyrok moskiewskiej Izby sądowej, uniewinniający literata *Bogoraza-Tana* oraz pp. *Teslenko* i *Lewickiego* w sprawie «Związku włościańskiego».

KRONIKA GIEŁDOWA

Petersburg, 23 czerwea (6 lipca). Na giełdzie tutejszej notowano: renta państwowa 84³/₈, pożyczka wewnętrzna 5 proc. 1905 r.—99³/₄, pożyczka wewn. 1906 r.—99³/₈; pożyczki premjowe: I — 396, II — 292, III — 262. Wartości banków ziemskich: listy zastawne wileńskie 82¹/₂, kijowskie 82, akcje wileńskie 479. Papiery przemysłowe: akcje bakińskie 291, kaspjskie 3,755, Mantaszewa 120, Nobla (udziały) 10,975, briańskie 98, Hartmana 191, kołomeńskie 146, małcowskie 319, putiłowskie 85¹/₂, sormowskie 106, Feniks 162, bałtyckie 310.

Przekazy: Bank Państwa sprzedaje: na Londyn po 94,62¹/₁ rb. za 10 f. szt., na Berlin 46,30 za 100 mk., na Paryż 37,58 za 100 franków.

POGADANKA

Jeske-Choiński jest typowym weredykiem. Nie bawi się w subtelności, «różnie prawdę» i o nic nie pyta. Nienawidzą go postępowcy i wszelkiego rodzaju reformatorzy ludzkości. Jest dla nich wstecznikiem, jest też «solą w oku, kolką w boku». Na każdym kroku przesładują go, najzjadliwiej jak umieją. Ale on na to nie zważa.

— Psia-krew!... hołota!...—i tyle.

Nie powiem, żeby mnie ten radykalizm zachwycał—lubię go jednak, gdyż służy dobrej sprawie. Mylą się ci, co nazywają Choińskiego «wstecznikiem»: on ludzkości wstecz nie cofa, przypomina jej tylko stałe, odwieczne zasady, na których wspierać się musi, jeśli nie chce upaść.

Choiński, wróg kapitalizmu, jest zarazem wrogiem dzisiejszych socjalistów. Może w ideach mniej daleki im, niż się tego domyślają, krańcowo od nich się różni w środkach działania. Oni widzą zbawienie świata w bezwyznaniowości i anarchji, on—w nauce Chrystusa, w katolicyzmie i ładzie społecznym.

Przeciwnicy Choińskiego nie szczędzą mu złośliwości; on nawzajem nie skąpi im szyderstwa. Zwolennicy tego rodzaju igrzysk nie bez zadowolenia przyglądają się tym zapasom.

Prawdziwą «ścierką do zatkania gęby grzesznikowi» jest ostatnia praca Choińskiego p. t. «Po czerwonym zwycięstwie (obraz przyszłości)». W formie humorystycznej fantazji mieści się tu satyra na mrzonki dzisiejszych socjalistów.

Autor, zwalczając przeciwników własną ich bronią, przedstawia fikcyjny obraz Warszawy, w której jakoby wszystkie utopje socjalistyczne stały się rzeczywistością. Rozumie się, iż rzecz przedstawiona jest w sposób w równym stopniu obrzydzący i ośmieszający socjalizm najgorliwszym nawet jego zwolennikom.

Ta satyra, z właściwą autorowi werwą napisana, więcej zdziałać może, niż całe stopy broszur teoretycznych—zwłaszcza, że Choiński dał swej fantazji formę popularną, która ją czyni zrozumiałą nawet dla prostaczków. A właśnie o prostaczków głównie tu chodzi.

Nie inną mają tendencję historyczne powieści Choińskiego na tle wielkiej rewolucji francuskiej osnute. Choiński, jako pisarz nawskroś tendencyjny i bardziej społecznik, niż artysta, może rozmyślnie wybrał sobie ten przedmiot i tę epokę, aby przeprowadzić na obcym gruncie eksperyment, przeznaczony na użytek własnego społeczeństwa.

Z tego cyklu, który ma być podobno trylogią, wyszła obecnie powieść p. t. «Jakobini».

Już tu kiedyś pisałem o tych powieściach. Naogół są one bardziej ożywiona historją, niż dziełami sztuki. Szkodzi też im, z punktu artystycznego, nadmiar tendencji, i to tendencji jednostronnej, do której autor nagina i fakty historyczne, i zdarzenia potoczne, i charakterystykę postaci, i samą akcję powieściową.

Najmniej wolnomysłny czytelnik doświadczać musi niekiedy wątpliwości:

— Czy to jednak naprawdę tak się wszystko odbywało? z takich źródeł płynęło? do takich tylko celów dążyło?

Taka jednostronność, zamiast pomagać tendencji, szkodzi jej.

Mimo tych niedostatków, powieść wywiera wrażenie silne i znaleźć powinna licznych czytelników. Temat wyjątkowo bogaty, a w beletrystyce polskiej po raz pierwszy podobno opracowany, porwuje czytelnika samą siłą faktów—a porwać też musiał i piszącego.

W «Jakobinach» pełno scen kreślonych żywo, dramatycznych, wstrząsających. Obok nich trafiają się też zabarwione humorystycznie obrazki rodzajowe. Całość układa się w różnolitą, zajmującą mozaikę.

Tak zwana w psychologii «asocjacja sprzeczności», bezpośrednio po tych obrazach, krwią i błotem splamionych, przywodzi mi na pamięć cichą, zbożną pracę «Polskiego Stowarzyszenia przyjaciół pokoju», które od lat kilku prowadzi w Warszawie działalność, szczupłą jak dotąd, lecz piękną i uznania godną.

Pożyteczna ta instytucja wydaje własny rocznik p. t. «Pokój», poświęcony propagandzie swych idei, a zarazem sprawozdaniom prac dokonanych i zamierzonych.

Mam przed sobą ostatni, drugi z kolei, z tych roczników. Otwiera go wymowne słowo wstępne d-ra Józefa Polaka, prezesa instytucji p. t. «Idea pokoju».

Z dużą siłą przekonania i z wiarą go-

racą w hasła, którym instytucja służy, wyjaśnia autor jej cele i przepowiada spodziewana przyszłość.

«Czyż istnieją jeszcze ślepi — mówi — którzy nie dostrzegli, że wojna obecnie stanowi tylko przerwę w pokoju międzynarodowym, gdy dawniej pokój stanowił chwilowy wypoczynek po wojnie; że rządy wojujące, choć zazwyczaj nieszczerze, uczuwają obowiązek nadania inicjatywie wojny przynajmniej pozoru słuszności, gdy dawniej wszelkie umotywowania uważano za zbyt czyste, sam bowiem cel zaboru stanowił świetną pobudkę moralno-patriotyczną; że na nagrobkach wojowników w świecie kulturalnym nie wypisuje się jako cnoty, iż mordowali liczne rzesze narodów. Ewolucja protestu przeciwko wojnie nie ulega już wątpliwości»...

Ten pogląd optymistyczny popiera dr. P. faktami, których doniosłości również tylko ślepi i głusi uznać nie zechcą.

Pełna treści i umiejętnie ułożona broszura niejednemu oczy otworzy, niejednemu na właściwą sprowadzi drogę. Nie wątpimy, że grono ludzi dobrej woli, przy «Stowarzyszeniu przyjaciół pokoju» skupione, dziś jeszcze dość szczupłe, z każdym dniem wzrastać będzie i dojdzie do cyfry imponującej. A wówczas instytucja wywierać będzie wpływ przemożny na wiele spraw publicznych, takiego kierowniczego czynnika potrzebujących.

Z całego serca życzę jej tego.

Wiktor Gomulicki

Menelik II

«Lew z pokolenia Judy, stróż pieczęci Salomona, król królów Etyopji»—tak brzmią tytuły jego urzędowe—Menelik II, cesarz abisynji, jest umierający, albo już umarł nawet, jak głoszą ostatnie wieści. Tytuły powyższe pochodzą stąd, że po zburzeniu Jerozolimy znaczny zastęp żydów udał się do Abisynji, gdzie oddawna istniała liczna kolonia ży-



Menelik II, negus negusti.

dowska i z którą, od czasów królowej Saby, Judeja pozostawała w stosunkach ściślejszych. Wyższa klasa w Abisynji — to potomkowie owych wychodźców żydowskich, a religja abisynjska, którą niedawno usiłowano w Petersburgu przedstawiać, jako odłam prawosławia, jest dziwną mieszaniną judaizmu z chrześcijaństwem. Arka przymierza (rzekomo autentyczna) stoi w stolicy Abisynji, i rok rocznie obnoszą ją dokoła świątyni, a król tańczy przed nią, jak niegdyś Dawid. Menelik był synem króla Szoa, którego stracił z tronu ces. Teodor, pozostawiając władcą kraju Menelika, który złożył mu hołdy. Utrwaliwszy swoją władzę w Szoa, bez przebiegania w środkach, dzięki radom drugiej żony (pierwszą wypędził) Taitu, niezwykle dzielnej kobiety, Menelik, po śmierci syna Teodora, Jana, sięgnął po koronę negusa i zdobył ją przy pomocy Włoch, z którymi się sprzymierzył. Gdy zdołał wzmocnić się, złamał warunki przymierza i rozbiwszy pod Adua oddziały włoskie, wyparł je do Erytrei i zmusił Włochy do zaniechania dalszych planów kolonizacyjnych.

Karzeł Borusławski

«Dziennik Pozn.» podaje ciekawą wiadomość o karle Józefie Borusławskim.

Było dawniej w zwyczaju, iż po dworach królewskich do rozrywki trefnisiów utrzymywano. W Polsce odznaczył się na tem polu wielkim talentem po sławnym Stańczyku także Gaska na dworze Augusta Jagiellończyka i wielką szczył się sympatją. Nasz poeta Jan Kochanowski następujący wiersz o nim napisał:

«Ośmdziesiąt lat (a to jest prawie wiek
człowieczy),
Czekała śmierć, by Gaska prawil grze-
czy.
Nie doczekała się; błaznem go tak wzięła,
I tąż drogą, gdzie mądrych porywa za-
jęła.
Błaznuj przed się Gasko, imię twe nie
zginie,
Póki dzika gęś i swojska na tym świe-
cie słyńcie.»

Podobnie jak trefnisie po dworach królewskich ważną rolę odgrywali, utrzymywano w domach wielkich magnatów karły. W Polsce nie było prawie znacniejszego domu, gdzieby się karzeł nie znajdował.

Zwyczaj ten rozpanoszył się zwłaszcza przy końcu średnich wieków i trwał aż do końca panowania Stanisława-Augusta. Jednym z najslawniejszych karłów w Polsce był Józef Borusławski. Znalazł on gościnne przyjęcie u pani miecznikowej Humieckiej i w jej towarzystwie po obcych krajach dużo podróżował, a dla niepospolitej małości był wszędzie podziwiany. Był on 28 cali = 72,8 centymetrów wysokości, składną miał postać ciała, celował uprzejmością w pożyciu i był nader dowcipny w odpowiedziach. Umarł w Anglii w roku 1837, doczekawszy się rzadkiej starości, bo kończył właśnie 98 rok życia. Poprzednio wydał on we francuskim języku opis swego życia, z którego źródła dowiadujemy się, że z sześciorga rodzeństwa on tylko, brat jeden i siostra zostali karłami, trzej zaś inni bracia na normalnych ludzi wyrosli. Siostra jego jeszcze mniejsza była, bo w 20 roku życia, w którym umarła, zaledwie 26 cali = 67,6 cm. wysokości liczyła. On sam zaś rósł nieznacznie aż do 30 roku. Przedstawiała go po różnych dworach pani Humiecka, wszędzie z podziwem na niego spoglądano, bo wielkie robił wrażenie. Nadano mu francuskie imię Joujou. Ubrany był zazwyczaj w mundur pułku jazdy buławy wielkiej koronnej i tak się uwydatnia na portretach, które w różnych stolicach malowano, a z nich jeden egzemplarz jeszcze dziś w muzeum londyńskim podziwiają.

W opisie przygód swych podróży wspomina Borusławski między innymi o królewskich osobach, nas bliżej obchodzących, np. o królu Stanisławie Leszczyńskim, któremu był przedstawiony w Lunéville i o Marji Leszczyńskiej, królowej francuskiej, która go po kilkakrotnie widzieć życzyła. Hetman Ogiński, bawiący wtenczas w Paryżu i poznawszy się ze sławnym karlem pani Humieckiej, uprosił go sobie do w podziw budzącej mistyfikacji. Na huczonym bowiem obiedzie był ukryty «Joujou» w srebrnej wazie, na środku stołu stojącej. Na dany znak wyskoczył z niej nasz karzelek; a gdy wielki powstał krzyk i przestraszenie — zwłaszcza ze strony dam zaproszonych, na dowód, że nie był złym duchem, obnosił im cukry na małym talerzyku i łagodnie przemawiał.

W Lunéville przykre miał Borusławski spotkanie. Był tam na dworze króla Stanisława inny karzeł, imieniem Bébé, francuz rodem i słynny także z małości. Ten zmierzwszy się z naszym Joujou, gdy się okazało, że on jeszcze o cztery cale był niższym, tak gwałtowną uczuł zazdrość, że gdy raz sami stali przy kominie, porwał za nogi małego gościa i gwałtem go chciał w ogień wrzucić. Na krzyk biednego Joujou przybiegł sam król Stanisław, uratował uciśnionego, skarcił surowo zazdrośnika i skazał go na publiczne przeproszenie. Uczynił to Bébé, ale z takim przymusem i wstrętem, że popadł następnie w ciężką chorobę i wkrótce umarł. Powróciwszy Borusławski z panią Humiecką do Polski z nabytą już wielką sławą, stał się w Warszawie powszechnym przedmiotem ciekawości i upodobania, gdzie też błogie spędzał chwile, aż gdy w przeszło 30 roku życia, gwałtowny popęd miłości skłonił go do jednej z pańien, na dworze pani Humieckiej bawiących. Wyśmiany i wzgardzony po pierwszym oświadczeniu, umiał wszelako stałością i wytrwaniem wszystkie pokonać trudności. Uzyskał nareszcie przywiązanie ulubionej mu osoby i postanowili się połączyć węzłem małżeńskim. Gdy jednak pani i opiekunka ich przeciwtemu silnie się opierała, tajemny ślub zawarli. Skoro atoli sprawa ta wyszła na jaw, stracili całkiem łaskę u swej pani. Wyrzekła się ich, oddaliła z domu i wkrótce ujrzeni się bez sposobu do życia. W tem opłakanym położeniu porzucił Borusławski wraz z żoną kraj polski i udał się do obcych stolic, gdzie biedą przygnębiony, mimo największego wstrętu, pokazy-

wać się musiał za pieniądze. Pokazywała go żona, nosząc nieraz męża jak małe dziecko na rękę w publicznych lokalach. Znalazłszy nakoniec nasz biedny Joujou wspaniałych opiekunów w Anglii, tam na resztę życia stale zamieszkał. Dobrze było przez długi czas pożycie jego z żoną i lubo ich Pan Bóg dziećmi obdarzył — później jednak się z nim rozstała.

Piłka nożna (Football)

Starożytni rzymianie uprawiali już podobno football — naturalnie w formie zupełnie innej, niż dzisiejsza. Gra sięga odległej epoki, bo w wiekach średnich grywano już w football we Włoszech, Francji i Anglii, gdzie zwłaszcza w XIV, XV i XVI stuleciu gra cieszyła się nawet zbyt wielkim upodobaniem, jak wiadomo z dekretów ówczesnych królów, którzy chcieli ją wprost stłumić zakazami, spowodowanymi niesłychaną brutalnością graczy, rekrutujących się przeważnie ze sfer ludowych. Głównie też z powodu niebezpieczeństwa zamiłowanie do footballu zaczęło zwolna słabnąć, tak dalece, że w XVII i XVIII wieku w samej Anglii przygasło prawie zupełnie.

Dopiero w początkach XIX wieku widzimy znów odradzający się football, ale tylko w Anglii, która też od tego czasu staje się jego rozsądnikiem. W połowie ubiegłego stulecia pielęgnuje się sport footballowy w wielu szkołach angielskich, a zwłaszcza w mieście Rugby. Ciągłe jednak grano jeszcze w football bez ustalonych przepisów i w r. 1860 dopiero wprowadzono ogólnie obowiązujące reguły, a przede wszystkim wyrugowano przyjęte w Rugby podnoszenie piłki rękoma. Późatem przepisy te zapobiegły szkaradnemu brutalstwu przez nakładanie wysokich kar, tak że football dzisiejszy stał się niepodobny do uprawianego w dawnych czasach. Jak olbrzymie jest dziś interesowanie się angielskiej publiczności sportem footballowym i jakie bajeczne wprost dochody przynoszą towarzystwom, przekształcającym się zwolna na akcyjne, rozgrywane przez nich matche, dowodem jest, że odbyty niedawno w Londynie rozstrzygający match między Manchester City a Bristol City, zakończony, jak wiadomo, zwycięstwem (1:0) Manchesteru, zgromadził bez mała sto tysięcy widzów.

Zawodowcy angielscy w tej gałęci sportu pobierają nietylko najzupełniej wystarczające na bardzo przyzwoite utrzymanie płace, ale poza wszelkimi urzą-

dzeniami, stworzonymi ku ich wygodzie, jak wspaniałe szatnie, kąpiele, ku ich treningowi, jak hale gimnastyczne, zaopatrzone we wszystko według najnowszych wymogów postępu, opływają we wszelkie, z całą troskliwością przez kierownice sfery towarzystw obmyślane dla nich przyjemności.

Są również w Anglii bardzo liczne towarzystwa amatorskie, z których najbardziej zasłużoną sławą cieszy się obecnie «Klub Corinthianów». Większym znaczeniem cieszą się jeszcze drużyny uniwersytetów Oxford i Cambridge, których doroczne matche budzą stale dziś zainteresowanie.

Sport ten rozszerza się i na inne kraje nie tylko w Europie, ale w całym, powiedzcież można śmiało, świecie i zyskuje coraz więcej uznania i zasłużonego poparcia ze strony wychowawców, lekarzy, prasy i wogóle całego społeczeństwa.

Nieźródny ten sport dociera i do nas, i szerzy się z żywiołową niemal siłą wśród młodzieży, która, jakby w poczuciu potrzeby odrobienia naszych zaległości na niwie wychowania fizycznego, garnie się do niego samorzutnie prawie, z nieznanym u nas do niedawna jeszcze do sportów wogóle zapalem.

SILVA RERUM

⊕ **Nowość budowlana.** Od dłuższego czasu specjaliści w kierunku budownictwa obmyślają sposoby taniego i dobrego zastąpienia międzypiętrowych stropów konstrukcji drewnianej na inną, gdzieby w grę nie wchodził materiał drzewny z powodu jego drożyzny, a co najważniejsza, z obawy zarazki grzyba. Z pośród różnych systemów ceglano-żelaznych lub żelazno-betonowych, w ostatnich czasach cieszy się uznaniem nowo wprowadzony ceglano-żelazny system Bremera pod nazwą «stropów bezdźwigarowych». System ten polega na połączeniu cegły dętej, drutu żelaznego i zaprawy cementowej; użycie belek żelaznych jest zupełnie wykluczone. Wytrzymałość stropów Bremera znacznie przewyższa inne systemy i przyjmuje obciążenia 1,000 kilogr. na 1 metr kwadratowy. Grubość wynosi tylko 6 1/2 cala, łącznie już z otynkowaniem sufitu, gdy stropy innych systemów mają grubości od 10—14 cali. Właściwości stropów bezdźwigarowych systemu Bremera polegają na absolutnej ogniotrwałości, zabezpieczeniu od przenoszenia dźwięku i izolacji od zimna, bezwarunkowym zabezpieczeniu przed grzybem, prostem i szybkim wykonaniu, nie płowstrzymującym biegu robót murarskich.



25)

TEODOR JESKE-CHOŃSKI

T E R O R

Powieść historyczna z czasów rewolucji francuskiej

—*—

XVII.

Po głównych marmurowych schodach pałacu Tuileryjskiego wstępowali deputowani. Szli na uroczystość otwarcia nowej sali Konwentu *), który będzie od dnia dzisiejszego obradował w siedzibie królów Francji.

Należy im się ten zaszczyt. Byli przecież królami Francji, więcej nawet, bo zabijali królów. Byli władcami, przed którymi drżeli wielcy i mali, których zmarszczone czoło, gniewne spojrzenie posyłało ludzi Bogu ducha winnych na szafot.

Zdawałoby się, że tacy mocarze powinni by nieść głowę z dumą Ludwika XIV, przywykłego od kołyski do kornie zgiętych grzbietów, że powinni stapać ze spokojem, z pewnością nietykalnych kolosów. Cóżby mogło im grozić na tej ziemi, — im, twórcom teroru, trybunału rewolucyjnego, — im, którzy rozporządzali miljonową armją? Palcem kiwną, a posłuszny Fouquier-Tinville utnie głowy wszystkim generałom.

Deputowani nie nieśli głów dumnie, nie stąpali ze spokojem, z pewnością nietykalnych kolosów. Bo plac Karuzelski zalał tłum oberwańców, drapichrustów, uzbrojonej w piki i dragi kanalji. Ta kanalja zajmie w nowej sali dwadzieścia trybun i będzie z tych trybun rozdawała krzykiem, wyciem, patenty na patryjotyzm, na obywatelskość, na cnotę. A oni, przed którymi drży Francja, skrępowani doktryną, bezsilni wobec ludu-suwerena, będą się musieli korzyć przed zmiennymi wyrokami tego nowego tyrana, kapryśniejszego od dawniejszych.

I nie nieśli głów dumnie, bo w sercach ich czaił się podejrzliwy strach przed namiętnością, przed zawiścią stronnicy.

Społgładali na siebie z podelba, jak wilki, jak złośliwe kundły, witali się półgębkiem, stłumionym pomrukiem, który zmienić się może każdej chwili w gwałtowne ujadanie: *à la guillotine!*

Gilotyna witała ich właśnie świeżą krwią.

W chwili, kiedy brali Tuillerje, dom zamordowanego króla, tracił kat Sanson w obliczu tego domu, na placu Karuzelskim, dwóch «arystokratów»: kapitana dragonów Riviera de Mauny i kupca Beaulieu. Posłali zagranicę trochę pieniędzy emigrantom, swoim krewnym, zgrzeszyli przeciw nienawiści patryjotycznej do arystokratów, obrazili nieposłuszeństwem majestat ludu, który zabronił sercu litować się nad «zdrajcami» i dali za to gardło.

Pomocnik kata podniósł wysoko ucięte głowy — krew rzygała z nich strumieniem, a lud-suweren ryczał: *vive la république, à bas les traitres!*

Zamiast kapłana, poświęcił kat nową salę obrad Konwentu — poświęcił ją krwią niewinną...

Nawet Górale, śpieszący do Tuillerjów, odwracali się z zabobonną trwogą od gilotyiny. Ten i ów skurczył się, wsunął kark w kołnierz surduta, jak gdyby go chciał obronić przed «nożem patryjotycznym». Żyrondyści omijali ostrożnie tłum. Oni przecież byli teraz w mniemaniu tego tłumu arystokratami, na nich przyszła kolej.

Brissot szedł z Vergniaudem.

— Cóż za szczególny pomysł tego Fouquier-Tinville'a dawać nam w chwili obejmowania w posiadanie Tuillerjów widowisko z gilotyją — mówił. — Gdybym był przesadnym, powiedziałbym, że to zły *omen* dla członków Konwentu. Mógłby być Fouquier odłożony tę operację na inną godzinę.

— Jesteśmy przecież nietykalni — rzekł Vergniaud.

— I Ludwik był nietykalny...

Spojrzeni obaj mimowoli na gilotyję i uśmiechnęli się nieszczerze.

— To dziś nasz pierwszy minister! — próbował dowcipkować Brissot, ale sztuczny uśmiech zgasł na jego ustach. — Trzeba usunąć tego krwawego pajaka z placu de la Réunion... Niech go przeniosą gdzieś indziej...

— Postawię jeszcze dziś wniosek, żeby zmieniono teatr egzekucji — mruknął Vergniaud.

W kilka godzin potem opuszczali posłowie Tuillerje, zwane obecnie «Maison Nationale». Żyrondyści i przyjaciele ich przemykali się chyłkiem, po jednym, aby nie zwracać na siebie uwagi suwerena-ludu, który koczował dokola «Domu Narodowego», zabawiając się głośną krytyką swoich *commis*.

Była na swoim posterunku i Théroigne z Méricourt, jak zwykle w czerwonej amazonce i z szablą przy boku. Podwładne jej komendzie «cnotliwe obywatelki» rozbiegły się już do domów. Została sama, czekając na Brissota.

Kiedy się szef sztabu Żyrondy ukazał, krzyknął któryś z sankiulotów, który go poznał:

— Brissot, zdrajca, spiskowiec!

Szybko skoczyła Théroigne i dobywszy szablę, zasłoniła przyjaciela.

— Czyście rozum stracili! Nazywać zdrajcą, spiskowcem patryjotę, który mówił we Francji pierwszy o Rzeczpospolitej?! — wołała.

Lud nie wiedział, kto mówił we Francji pierwszy o Rzeczpospolitej, nie znał zasług Żyrondy dla nowego porządku; wiedział tylko — bo tak nauczyli go agitatorowie Marata i Komuny — że Brissot «spiskuje ze swoimi towarzyszami przeciw Rzeczpospolitej, że dąży do dyktatury, że porozumiewa się z księciem Orleańskim». Lud wiedział zawsze tylko to, co mu w danej chwili jego ulubienicy chwili podszeptali i wierzył w te poddawane mu hasła bez krytyki, bez rezonowania.

— Kłamiesz, stara ścierko! — odezwała się jakaś młoda sankiulotka.

Wszystka krew, gorąca krew gwałtownego temperamentu, uderzyła do głowy Théroigne, zalała jej mózg warem gniewu. Ja, bohaterkę ulicy, komendantkę amazonek, zdobywczynię Wersalu, Tuillerjów, ozdobioną wieńcami obywatelskimi, — ja, która brała czynny udział we wszystkich krwawych rozruchach, prowadziła do bitwy bachantki rewolucji, — ja, wielką, sławną, ośmieliła się nazwać jakaś nieznana nikomu *sans-jupon*'ka «stara ścierka»?... Jej gwałtowność nie przebaczała nigdy zniewagi. Publicystę socjalistycznego, Luleau'a, zamordowała własną ręką za to, że podrwiwał w swoim piśmie z jej «cnoty i mądrości».

— Milcz, podła suko! — wrzasnęła, nacierając na zuchwałą.

Ale «podła suka» odbiła drągiem jej szablę i pochwyciła ją silną ręką robotnicy za włosy, krzyząc:

— Brissotyńka, żyrondystka, arystokratka! Nauczyć ją moresu!

Brissot, korzystając z zamieszania, znikł w tłumie.

— Słuchaj mnie, narodzie francuski!... — wołała Théroigne.

Nikt jej nie słuchał. Kłęb kobiet z ludu, które jeszcze temu kilka miesięcy biegły za głosem jej ko-

*) Dnia 10 maja 1793 r.

mendy, rzucił się na nią, przywalił ją swoim ciężarem, darł na niej suknie.

— Na...ro...dzie fran...cuski!... lu...du cnotli...wy—jęczała głosem zdławionym.

Naród francuski, lud cnotliwy zdarł z niej suknie, koszulę, szarpał jej obnażone ciało pazurami, siekł je różgami.

— Słuchaj mnie, kobieto francuska, swojego wodza—charczała Théroigne.

Kobieta francuska pastwiła się bez litości nad swoim «wodzem», który uczył ją emancypacji, zrównania się w prawach i służbie obywatelskiej z plecią mocną.

— Ścierka, łajdaczka, warjotka!—wyły hjeny rewolucji.

A sankiuloci, mężczyźni, wtórowali tej straszliwej kaźni brutalnym śmiechem brutalnych instynktów.

— Amazonka, ho, ho, ho!...

Już Théroigne przestała jęczeć, charczeć, leżała spokojnie, cała ociekła krwią, bez ruchu, a twarde ręce robotnic znęcały się jeszcze nad nią. Nagle rzuciła się, jak ryba w wodzie, chwytając powietrze i z piersi jej, z gardła trysnął potok obłąkanego śmiechu:

— Ha, ha, ha, rewolucja, komitet, dekret, wolność, braterstwo, łajdaki, zdrajcy!—sypały się bezładne wyrazy z jej ust.

Właśnie w tej chwili przechodził Karol Cheval z zandarmami. Widząc, co się dzieje, zawołał:

— Rozstąpcie się w imieniu Komuny!

Kłab kobiet odczepił się od Théroigne, a ona, uczuwszy się wolną, zerwała się z ziemi, zaczęła tańczyć, klaskać w dłonie, powtarzając te same słowa: rewolucja, dekret, *ça ira*, wolność, *la carmagnole*, lotry, miłość..., co wywoływało w otoczeniu wybuchy śmiechu.

Straszne były jej oczy bez blasku, bez życia, nie przeświecone płomieniem duszy, straszne jej ciało, posiekane różgami. Czarne, bujne, zwichrzone włosy okrywały płaszczem jej sine, krwią oblane plecy.

— Czy nie wstydzicie się bawić nieszczęściem?—odezwał się Cheval. — Czy nie widzicie, że ta kobieta straciła zmysły? Bydlę ulitowałoby się nad takim nieszczęściem, a wy śmiejecie się?

Biedna Théroigne... Śmierć byłaby jej odwaga zniosła spokojnie, ale takiej straszliwej zniewagi znieść nie była w stanie. Krew bezsilnego gniewu, zmieszana z żółcią, zalała jej mózg i zburzyła w nim narzędzia myśli. Oszalała...

Nagłym ruchem drapieżnego zwierzęcia rzuciła się na ściek uliczny i zaczęła pić nieczystości.

— Podnieście ją!—rozkazał Cheval zandarmom.— I niech jeden z was przywoła fiakra.

Zdjął z siebie surdut, okrył nim szamocącą się Théroigne i wsadził ją do powozu. A ona wyrwała się z jego objęć, krzycząc: wolność, *ça ira*, komitet, dekret...

Rewolucja zaczęła już pożerać swoje dzieci, Najwyższa Sprawiedliwość zaczęła już karać grzech i zbrodnię. Książę Filip Orleański przygotował się do gilotyny, a Théroigne wiozł Karol Cheval do *Hôtel-Dieu*, do domu obłąkanym.

XVIII.

Karol Cheval siedział w ratuszu, w swoim gabinecie administratora departamentu policji, przed dużym biurkiem. Przed nim leżał stos listów i brudnych, zatłuszczonych świstków, które woźny przed nim położył.

Brał list po liście, świstek po świstku i czytał.

Jakiś były lokaj donosił, że jego były pan należy do spisku rojalistycznego; jakaś praczka pisała, że na

bieliznie którejs z swoich klientek znalazła cyfry z koroną szlachecką; jakaś pokojówka meldowała, że jej pani przechowuje w domu medaljon świętego króla. Cały legjon lokajów, praczek, pokojówek, fryzjerów, stangretów, stróżów, uczniów rzemieślniczych, kupcyków, nadsyłał policji materiał do śledztwa i aresztowań. Ten widział u kogoś zegarek z herbem, ów słyszał, jak się jego pryncypał, majster wyrażał z niechęcią o «świętej Górze», trzeci, czwarty, dziesiąty, setny podejrzewał przyjaciela, sąsiada, towarzysza z kawiarni i z szynku o uczucia nieobywatelskie, o ukrytą nienawiść do Rzeczypospolitej, o przechowywanie niezaprzyjęzonych księży, a wielu polecało się uwadze administratora, prosząc o zarobek w tajnej policji.

W miarę, jak Cheval odczytywał te denuncjacje, napisane koszlawą kaligrafją i ortografją szkółki wiejskiej, marszczyło się jego czoło i składały się jego usta w gorzki wyraz.

— Jadowite żmije — oburzała się jego uczciwa dusza.

Pracował już dość długo w policji, żeby się nauczyć oceniać należycie wartość tych denuncjacji. Wielu z denuncjantów znał osobiście, wiedział, że był lokaj, stangret, stróż, kupczyk mścił się na swoim panu za to, że go wydalili ze służby za lenistwo, kradzież albo pijaństwo, że praczki, pokojówki denuncjowały panie po jakimś sporze, reszta zaś szukała w ten sposób chleba.

Ale nie tak sądził trybunał rewolucyjny. On chwycił skwapliwie każdą najbliższą denuncjację i przekuwał ją na zdradę stanu, aby przekonać patriotów o ciągłym niebezpieczeństwie, jakie im grozi, aby podtrzymać nieustające wrzenie rewolucyjne.

Cheval powinien był te wszystkie kłamstwa odsłać prokuratorowi trybunału rewolucyjnego—tak nakazywał mu obowiązek urzędnika policji—on jednak, zamiast je włożyć do teki z napisem: *Citoyen Fouquier Tinville, accusateur public près le tribunal révolutionnaire*, wsunął je w dużą kopertę.

Był wprowadzić sam, ale we drzwiach znajdowała się dziurka od klucza, a za temi drzwiami siedziało w dużej sali wiele ciekawych, podejrzliwych oczu, czyhających na posadę zwierzchnika.

Cheval podniósł się z krzesła, zbliżył się do drzwi, spojrział przez dziurkę, potem zakrył ją plecami i schował kopertę z denuncjacjami pod kamizelkę. Spali w domu te obydne świadectwa podłości ludzkiej. Robił to codziennie. Wielu już niewinnych ludzi wydał w ten sposób z krwawej paszczy gilotyny.

— Szakale, hjeny—mówił do siebie, wracając do biurka. — Niedoczekanie wasze, zebym miał służyć jako narzędzie waszej podłości. Zbrodni nie uczyła mnie matka.

Ale nie wszystkie zatrute żądla denuncjacji mógł zniszczyć w ten sposób.

W norze swojej siedział Marat, otoczony zgrają najprawdziwszych patriotów, i zapisywał skrętnie na długich kartkach ich donosy. Przysyłał ich codziennie po dziesięć, dwadzieścia.

Tych kartek nie mógł Cheval usuwać, Marat bowiem śledził uważnie rozprawy trybunału rewolucyjnego i byłby się o ofiary swojej nienasyconej krwiożerczości upomniął.

I dziś było tych kartek dużo. Cheval poznał je po nierównym, nerwowym piśmie Marata. Drżącą ręką, nie odczytując ich, wsunął je do teki, przeznaczonej dla Fouquiera. Wiedział przecież, co w nich było: zdrada, arystokraci, zabijac!

Przejrzawszy resztę papierów, chciał wyjść do miasta, kiedy nadszedł Tallien.

— Czy można mówić u ciebie swobodnie?—odezwał się członek Konwentu, siadając bez ceremonji na biurku w kapeluszu na głowie.

— W Paryżu można dziś mówić wszędzie swobodnie, ale tylko szeptem i to do siebie—rzekł Cheval. Tallien uśmiechnął się.

— Stajesz się w służbie policyjnej dowcipnym. Ale masz rację. Zbliź się więc i słuchaj, co ci powiem. Popeliłeś wczoraj wielkie głupstwo.

A kiedy Cheval spojrział na niego zdumiony, mówił Tallien:

— Litowałeś się nad tą warjatką Théroigne i nawymyślałeś sankiulotom od bydła... Na Górze dziś o tem mówiono. Nie radzę ci sprzeniewierzać się zasadom sankiulotyzmu, bo dziś, jak ci wiadomo, nie potrzeba wiele, aby rzygnąć krwią w miedziany miech Sansona.

— Nic o tem nie wiem, żeby zasady sankiulotyzmu nakazywały znęcać się nad nieszczęściem — bronił się Cheval. — Jestem sankiulotą, bo odczuwam nędzę ludu, z czego jednak nie wynika, żebym się miał cieszyć z cierpienia nieszczęśliwego.

— My, sankiuloci, mamy czułe, tkliwe serca, ale tylko względem swoich, względem naszych braci. Litość dla arystokratów jest zbrodnią przeciw wolności i ojczyźnie.

— Nic mi nie wiadomo, żeby Théroigne była arystokratką.

— Zaprzyjaźniła się w ostatnich miesiącach z tymi szczekaczami z Żyrondy, zarystokracała. Słusznie ukarał ją lud, który posiada wrodzony instynkt sprawiedliwości. Tymczasem zażegnałem burzę, jaka już szła ku tobie, przysiągłszy na świętą Górę, że byłeś wczoraj pijany, jak Hanriot; ale bądź na przyszłość ostrożniejszym. Fouquier skarży się, że twój departament dostarcza mu zamąto zdrajców. Bądź gorliwym w służbie ludu-suwerena. Jeżeli twoi agenci grzeszą opieszałością albo brakiem dowcipu, komponuj sam denuncjacje. Cóż ci to szkodzi, że kilka tysięcy arystokratów albo episjerów pojedzie ekstrapocztą na łono Abrahama? Będzie dla nas, dla sankiulotów, więcej miejsca we Francji. A teraz do widzenia! Śpieszno mi do klubu; przygotowujemy nową robotę. Paryż będzie miał w tych dniach nadzwyczajne widowisko. Pamiętaj, bądź przezorniejszym!

Kiedy Tallien wyszedł, oparł Cheval obie ręce o zrab biurka i zwiesił głowę na piersi. Robił w tej chwili wrażenie, jak gdyby jakieś wielkie nieszczęście złamało jego młodość, zdruzgotało jego energję.

«Sankiuloci mają tkliwe, czułe serca, ale tylko dla swoich; litość dla arystokratów jest zbrodnią przeciw wolności i ojczyźnie»—mówił Tallien.

Wiedział o tem Cheval, ocierał się bowiem codziennie w ratuszu o cały sztab Góry, Komuny i sekcij, znał teraz osobiście wszystkich wodzów sankiulotyzmu, czytał w ich duszach i sercach, jak w księdze otwartej. Do niego, do wysokiego urzędnika policji, stukwały wszystkie ambicje i podłości ludzkie, zbliżały się bez obawy, bez obłudy wszystkie grzechy rewolucji, był przeciw od tego, aby się posługiwać tymi grzechami w służbie swojej pani—Komuny.

Wiedział nawet więcej od Talliena, bo zajęcie rewolucyjnego wyżła nauczyło go, że tkliwe, czułe serce sankiulotyzmu umie być bez litości nawet dla swoich, dla ubogich dorozkarzów, dla starych kucharek, dla żebraków, gdy się w chwili podniecenia ośmielili wyrazić niepoehlebnie o którymś z nowych władców. «Arystokratą» czyli zbrodniarzem był przeciw teraz każdy bez względu na pochodzenie, kto dotknął palcem «świętej Góry». Ileż to razy musiał on sam, zmuszony do tego przez czujne, podejrzliwe oczy

i uszy swoich podwładnych, aresztować nędzarzów, których całą winą było, że wódka zachowywała się w ich mózgach nieostrożnie?

Tallien kazał mu komponować denuncjacje, bo «cóż to szkodzi, że kilka tysięcy arystokratów albo episjerów pojedzie ekstrapocztą na łono Abrahama?... Będzie dla sankiulotów więcej miejsca we Francji».

Tak; o to tylko chodziło... Z błyskotliwej mgławicy frazeologii klubów jakobińskich, z czarnych chmur mów Konwentu, brzemiennych w gromy, z cuchnących ścieków denuncjacji, z gadzinowych wyroków trybunału rewolucyjnego, wyzierało samolubstwo ludzkie, uzbrojone w drapieżne pazury chciwości i ambicji.

Któż lepiej od administratora departamentu policji mógł znać ukryte sprężyny, wprawiające w ruch maszynę powstań przedmieść paryskich?... I któż lepiej od niego mógł znać tych «cnotliwych, mądrych» patryotów, którzy zasypywali oczy nieświadomionego ludu lśniącem piaskiem dźwięcznych frazesów?

— W cuchnącą kałużę wpechnął mnie Tallien, w jaskinię lotrów—mówił Cheval do siebie, otrząsając się, jak po szpetnym napoju.

Czy wydobyć się z tej kałuży, uciec z tej jaskini? Francja potrzebuje na granicach swoich niezliczonego mnóstwa młodych, odważnych ramion.

Cheval zamyslił się.

Nie, nie opuści zajętego stanowiska dopóty, dopóki go denuncjacja z niego nie strąci. Setki jeszcze niewinnych ludzi może wydrzeć ze smoczej paszczy Fouquiera-Tinville'a i przydać się w chwili ciężkiej Cecylji i jej rodzicom.

XIX.

Pani Roland podniosła się dopiero co z łózka. Kilka tygodni trzymała ją w domu pierwsza dłuższa niemoc, wyszła z jej rumianych zawsze policzków róża zdrowia i świeżości.

Podwinawszy pełne, okrągłe ramię pod głowę, leżała w złotym szlafroku na szezlongu w gabinecie męża z oczami, utkwionemi w sufit. Większe, niż zwykle, wydawały się te ładne oczy, podkrażone sinemi obwódkami.

Obok niej stała jej dwunastoletnia córeczka. Stała cicha, onieśmielona obecnością matki, która, opanowana przez politykę, rewolucję i swoje ambicje, nie miała czasu do pieszczenia dziecka. To dziecko zresztą nie było dzieckiem serca lwicy rewolucji, jej dumy macierzyńskiej, nie wzięło bowiem po niej ani jej płomiennego temperamentu, ani zdolności.

— Czy chcesz wrócić do La Platière? — mówiła pani Roland, nie odrywając wzroku od sufitu.

— O chęć, mamusiu, bardzo chęć! — odpowiedziała dziewczynka. — W La Platière są takie ładne kwiatki i takie ładne kurczątka, a tu, w Paryżu, chodzą brzydecy ludzie po ulicach z karabinami i mają takie straszne wasy!

— Wyjedziemy do La Platière jutro. Idź do swego pokoju i poproś bony, żeby spakowała twoje książki i zabawki.

Kiedy pani Roland została sama, podniosła się z szezlongu. Podniosła się ociężałym ruchem znużenia i zbliżyła się wolno do okna.

Naprzeciw jej domu znajdowało się okno kapitała sekcji, przed którego drzwiami powiewał sztandar trójkolorowy.

Z nienawiścią spojrziała na ten sztandar, nienawistnym spojrzeniem obrzuciła gromadę otaczających go uzbrojonych sankiulotów.

Na dworze kapały się domy w potokach blasków wiosennych. Całe snopy promieni rzucał ostatni dzień

maja na Paryż — i stukał do wszystkich okien, do wszystkich drzwi odwieczną różdżką młodości: wyjdźcie i bawcie się pod baldachimem mojego błękitnego nieba, owiani moim wonnym oddechem!

Wybiegali ludzie z domów i domków, weseli, uśmiechnięci, strojni, spragnieni rozkoszy życia, roili się ulice jak w dniu świątecznym, śmiały się z nieopatrnością dziecka.

W ten nieopatrny śmiech wpadł nagle poważny głos dzwonów, zaraz potem odezwały się bębny. Paryż wiedział bardzo dobrze, kogo wzywają te dzwony i bębny i co zwiastują. Niech sobie dzwonią, niech sobie bębnią, niech się politycy nadziewają na piki, kiedy lubią taką zabawę... Nawet wystrzał armatni nie wymiottił z ulic ludzkiego mrowiska. Matki siadały z dziećmi na progach domów *pour voir passer l'insurrection*. Już dawno nie było porządnej awantury, takiej, którejby się warto było przypatrzeć, a ludek wielkich miast lubi widowiska...

Pani Roland schwyciła się oburącz za piersi, jakby jej tchu zabrakło. Sina bladość bezsilnego gniewu powlokła jej twarz.

Ona wiedziała, komu dzwonią na pogrzeb te dzwony alarmowe, przeciwko komu wzywają te bębny uzbrojone sekcje. Walił się w gruzy gmach jej marzeń, pojęć, złudzeń, wierzeń i ambicji, rozsypywał się na drzazgi tron władzy, który budowała dla swoich doktryn, dla siebie i dla swojego stronnictwa.

Przeciwko Żyromdzie szli sankiuloci...

Z ulicy dolatywał ją tentent galopujących koni i tupot biegnących, jak do szturm, ludzi; pod jej oknami, przed domem kapitana sekcji, rozlegał się głos komendy.

Na pogromców monarchji, na twórców Rzeczpospolitej rzucił się lud paryski z nienawiścią w sercu, ten lud, którego praw i potrzeb pierwszym rzecznikiem byli żyromdyści.

Pani Roland załamała ręce. Głowa jej nie podnosiła się już dumnym ruchem gwałtownego temperamentu i nieustraszonej woli — obwisała na piersi; oczy jej nie lśniły już błyskami tryumfu — przygasły; usta jej nie śmiały się już zwycięzko do życia, do zdobytej władzy i sławy — gorzyc rozczarowania i niemocy sączyła się z nich.

— Wybiła ostatnia godzina wolności! — mówiła do siebie głosem zdławionym.

Nie przestała wierzyć, że tylko ona i jej towarzysze, młodzi adwokaci, kupcy, nauczyciele ludowi z prowincji i garstka dziennikarzy wzięli w siebie wszystkie blaski oświecenia XVIII stulecia, cały geniusz Francji, że tylko oni potrafią zbudować na gruzach przeszłości nową przyszłość, opromienioną wielkim słońcem prawdy, sprawiedliwości i szczęścia.

— Ostatnia godzina wolności... — powtórzyła zicha głosem bezdźwięcznym.

Zakryła twarz i oczy chustką, jak konający Cezar toga.

Bo nie mogła biedz na pomoc gasnącej w jej mniemaniu wolności. Lud paryski, uzbrojone ramie rewolucji, odwrócił się od jej stronnictwa.

— Uwierzył kłamcom i obłudnikom! — skarżyła się jej rozpacz.

Na ulicy zadudniły armaty.

Pani Roland cofnęła się od okna.

— Uciekać z tego krwawego miasta, uciekać czempredzej, zakopać się w zaciszu wiejskim, odcieciem od świata, od ludzi, od ich podłości i głupoty, nie patrzeć łzawymi oczami na dzieło nienawiści.

Rozwinęła ręce szeroko, jak ptak rozwija skrzydła do wzlotu.

— Uciekać, uciekać!...

W tej chwili ukazał się Roland.

— Czy konie gotowe? — zapytała nerwowo.

— Zamówiłem pocztę na jutro rano... — odrzekł jej mąż.

— Wolalabym dziś, natychmiast.

— Nie ma dziś wolnych koni na poczcie.

— Powietrze paryskie dusi mnie.

— Dusi ono wszystkich ucziwycy patrijotów...

Czy wiesz, kogo ci zbrodniarze z Komuny zamianowali naczelnikiem gwardji narodowej po Santerze? Hanriota!

— Hanriota?! — zawołała pani Roland, patrząc na męża wzrokiem osłupiałym. — Były lokaj, wypędzony ze służby za kradzież, następnie szarlatan, tajny szpieg policji, w końcu kryminalista, odsiadujący w chwili wybuchu rewolucji karę w Bicêtre, naczelnikiem gwardji narodowej, jenerałem? Wolności, zasłoń swoją boską twarz cyprysem, albowiem Paryż znieważył cię okrutniej od wszystkich despotów świata!

— Potrzebują widocznie bezwzględnego mordercy, a Hanriot dowiódł podczas rzezi wrześniowych, że umie zabijać bezbronych ludzi — objaśniał Roland.

Cięzko opadła pani Roland na fotel. Zwiesiwszy głowę, mówiła półgłosem, jakby do siebie:

— W pierwszej chwili powołują rewolucje do steru rządu mężów rozumnych, którzy byli ich twórcami, ale rządy mężów rozumnych i ucziwycy nie trwają długo. Z zajętych stanowisk spychają ich ambitnicy i karjerowicze, którzy, pragnąc korzystać z dobrej sposobności, schlebiają ludowi i wysuwają się na pierwszy plan rewolucji, poparci przez ślepe, głuche namiętności tłumy. Jest to klątwa wszystkich walk o wolność.

Miękkim ruchem szczerzej miłości nachylił się stary mąż nad młodą żoną i, muskając jej włosy zwiędłą ręką, mówił głosem drżącym:

— Utul się, jedyna pociecho i otucho mojej starości. Usuniemy się z oczu tym zbrodniarzom, nie będziemy patrzyli na dzieło ich podłości! Może ślepy lud przejrzy kiedyś i powoła nas znów do pracy obywatelskiej. Tymczasem będziemy się starali zapomnieć w naszym domku, w La Platiere, o jego niewdzięczności. Dolina Saony, zakryta górami, kwitnie właśnie wszystkimi kwiatami wiosny, zaprasza nasze serca zbolale, nasze myśli strudzone uroczystą ciszą swoich łąk i lasów. Nie żałuj Paryża. Będzie nam w naszym uroczem schronisku tak miło i wygodnie, jak dziecku na łonie kochającej matki.

— Ach tak!... będzie nam tak miło i wygodnie... Jedźmy, jedźmy!...

Wtem uderzył ktoś na dole młotkiem w bramę domu. Było to uderzenie mocne, bezwzględne kogoś, co nie lubi czekać. Wkrótce potem rozległ się na schodach tupot nóg, odzianych w ciężkie buty.

Na pytanie to odpowiedziało mu skrzypnięcie drzwi w przedpokoju.

— Nasi nowi władcy... Czego oni mogą chcieć w naszym spokojnym domu? — odezwał się Roland.

Roland stanął zdziwiony na środku gabinetu, czekając na nieproszonych gości. Nie czekał długo. Szczęściu uzbrojonych ludzi weszło z brzękiem długich szabel.

— Na rozkaz komitetu rewolucyjnego aresztuję cię, obywatelu! — rzekł jeden z nich.

Szybko, nie tracąc przytomności, odpowiedział byłby minister:

— Nie wiem nic o prawie, któreby ustanowiło władzę, o jakiej mówicie, i dlatego nie mam potrzeby być posłusznym rozkazowi nieznanej mi władzy. Możecie użyć siły, ale oświadczam wam, iż będę protestował przeciw przemocy aż do ostatniego tchnienia!

— Nie mając rozkazu użycia siły, zaniosę twoją odpowiedź, obywatelu, radzie Komuny — rzekł wysłaniec komitetu rewolucyjnego. — Moi koledzy zostaną tu aż do mojego powrotu.

Kiedy uzbrojeni ludzie cofnęli się do przedpokoju, spojrział mąż na żonę, żona na męża; porozumiewali się oczami.

Patrzyli na siebie, pytając się nawzajem: co zrobić? bo wysłaniec komitetu rewolucyjnego wróci niewątpliwie z rozkazem Komuny użycia siły, a wówczas nie pomoże Rolandowi nie przytomność umysłu i powoływanie się na prawo. Któż słucha w rewolucjach prawa?

I oni, zyrondyści, policzkowali zuchwale prawo, rzucając w czerwcu zeszłego roku przedmieścia na Tuillerje, na króla, którego głowę otoczyła konstytucja, zaprzysiężona przez naród, przez nich, aureolą nietykalności.

Przygasający już płomień energii i woli błysnął znów świeżym ogniem w oczach pani Roland. Podnieciło go niebezpieczeństwo. Broniąc męża, broniła siebie. Takie zresztą natury, jak jej, walczą do upadłego i ulegają tylko przemocy.

— Pojadę natychmiast do Konwentu — mówiła pani Roland głosem przyciszonym — zawiadomię Zgromadzenie o gwałcie Komuny, a ty postaraj się tymczasem wydostać się z domu tylnymi drzwiami, przez kuchnię.

Nie czekając na przyzwolenie męża, usiadła przed biurkiem, napisała szybko list do prezydenta Konwentu, zarzuciła na szlafrok czarny szal, zakryła twarz czarną woalką i wybiegła. Na ulicy wskoczyła do fiakra.

— Do Domu Narodowego!

Był jeszcze dzień. Na wieży ratuszowej wybiła dopiero godzina siódma z wieczora. Tłumy kobiet z ludu snuły się z dziećmi po ulicach. Miasto żyło gwarnem życiem pogodnego, ciepłego dnia, nie troszcząc się o tragedję, jaka rozgrywała się właśnie w Tuillerjach.

«Dom Narodowy», w którym obradował wolny sejm wolnego narodu, stał bezsilny w groźnych objęciach potężnego pierścienia. Czterdzieści tysięcy uzbrojonych obywateli, wszystkie sekcje Paryża i przedmieścia św. Antoniego i św. Marcjusza zalały plac Karuzelski, ogród Tuillerjów, Most Narodowy, przyległe skwery i ulice. Morze migotliwych błysków zapalało już ku zachodowi staczające się słońce na bagnatach karabinów, na ostrzach pik, na karkach kawalerji. Nieme, milczące stały armaty, zwrócone ze wszystkich stron na Dom Narodowy. Ponura, duszna cisza oczekiwania wiała nad tą armją sankiulotów, którą zwołała, zgromadziła nienawiść stronnictwa.

Każdą inną kobietę lepszego towarzystwa byłby ten groźny, zatrutym wyziewem ślepej, mściwej namiętności przepojony obraz przeraził, cofnął. Ale sercu pani Roland, «jedynego mężczyzny pomiędzy zyrondystami», były obce dreszcze trwogi. Zawoalował się jeszcze szczelniej, torowała sobie odważnie drogę przez luźne kupy przedmieść i zwarte szeregi uzbrojonych sekcji. Nie zdziwił nikogo widok kobiety. Było ich dużo, tysiące, w armji sankiulotów.

Ocierając się o piki i karabiny, doznawała pani Roland uczucia, jak gdyby się przedzierała przez krze, najeżone kolcami. Kłuły jej serce te bagnety, ostrza pik. Wszakże były to te same bagnety i piki, które temu rok otaczały te same Tuillerje na rozkaz jej przyjaciół. Na ręce byłaby ją ta armja była wzięła, arcykapłanką nowego boga *Libér* byłaby ją obwoływała, gdyby się była wówczas raczyła ukazać.

A dziś? Dziś zakryła twarz woalem, zawinęła się w szal, aby jej czasem któryś z sankiulotów nie poznał. Możeby nawet nie doszła żywa do wielkich schodów Tuillerjów.

— Niewdzięczna, ślepa, podła kanalja!...

W niewdzięczną, ślepa, podła kanalję zmienił się dla niej lud paryski z chwilą, kiedy stanął sztorcem przeciw nieomyślności jej stronnictwa, ten sam lud, który był jasnowidzącym mędrcem i bohaterem dopóty, dopóki służył jej ambicjom i doktrynom.

Z kłatwą w sercu dotarła do wielkich schodów Domu Narodowego. Ale tu zastała wszystkie drzwi zamknięte, a przed każdymi drzwiami uzbrojonego strażnika. Wolny sejm wolnego narodu obradował pod groźbą brutalnej siły, terror trzymał go na obroży, jak krnąbrnego psa.

Daremnie stukwała do różnych drzwi, chcąc się dostać na pierwsze piętro. Wszędzie bronił jej bagnet wstępu.

A jednak musiała widzieć któregoś z przyjaciół, mówić z nim, oddać mu petycję do biura prezydjalnego. Od tego zależy życie jej męża.

Jej natura samodzielna nie znosiła pospolitego kłamstwa, ale w takim położeniu nie wolno gardzić żadną bronią. Przemówi do sankiulotów ich językiem, może ją wpiszcza...

— Obywatelu — rzekła do jakiegoś uzbrojonego draba. — W tym dniu zbawienia ojczyzny, w pośród zdrajców, jacy nas otaczają, posiadają wiadomości, jakie chcę złożyć w ręce prezydenta, niezwykle znaczenie. Bądź łaskaw zawołać woźnego, abym mu mogła powierzyć moje pismo.

Słowa jej pachniały denuncjacją, miłą najprawdziwszym patriotom. Zwiertzył ją maratysta, więc uśmiechnąwszy się życzliwie do pani Roland, otworzył przed nią drzwi.

Szła na pierwsze piętro po wspaniałych marmurowych schodach, po których zstępował cały szereg królów Francji, całe wieki potęgi, blasku i sławy, minęła była kaplicę królewską i znalazła się w małym salonie, w którym rewolucja ustawiła ogromny posąg Wolności. I tej kamiennej Wolności pilnował bagnet w czerwonej czapce i obok niej umieszcila pierwsza Rzeczpospolita strażnika.

Tu kazano jej czekać.

Wszystkie furje namiętności politycznej brały się widocznie w sali obrad za bary, zmagaly się z sobą, zerwawszy się z łańcucha prawa, bo kuźnia ustawodawcza huczała, jak pijany szynk. Jakiś tabun bawołów czy tygrysów ryczał tam z białą pianą wściekłości na pysku.

Pani Roland spojrziała na posąg Wolności i gorzki uśmiech prześlizgnął się po jej ustach.

Ona wiedziała, kto teroryzował w ten sposób wolę, sumienie i uczciwość wybrańców narodu. Klakierzy Góry zarykiwali mowy zyrondystów. Zapomniała tylko, że tą samą bronią walczyli jej przyjaciele z «moderantami», z monarchistami.

Drzwi otwierały się i zamykały szybko — strażnik ich pilnował — wybiegali woźni, deputowani, wszyscy skapani w pocie, oblani cegląstym rumieńcem nerwowego podniecenia. Przez otwarte na kilka sekund drzwi widziała pani Roland podniesione do góry ręce, widziała gromadę deputowanych z Góry, ściągających prezydenta za poły surduta z fotelu, grożących mu pięściami, pistoletami.

Nareszcie ukazał się w salonie poczekalnym któryś z jej znajomych. Deputowany Rôze wybiegł, aby ochłonać na chwilę. Spozrzegł ją.

— Co pani robi w tem piekle? — zapytał.

Zdyszczanym głosem opowiedziała mu o gwałcie ko-

mitetu rewolucyjnego i poprosiła go o wręczenie listu prezydentowi.

— Jestem na pani usługi, idę natychmiast.

Rôze wrócił do sali, a pani Roland zaczęła chodzić niecierpliwym krokiem po przedsionku. Tam, w domu, zbirowie Komuny może już spętali jej starego męża, może znieważyli go czynnie, a ona musi czekać tu, jak sługa, w przedsionku Konwentu, którego jeszcze temu kilka miesięcy była pania, jako Egerja rządzącego stronnictwa.

Minał kwadrans, pół godziny, trzeci kwadrans — bez litości, długie, policzkujące jej dumę, torturujące jej niecierpliwość kwadrans — a Rôze nie przynosił dobrej nowiny.

Nareszcie, po godzinie, ukazał się znów.

— I cóż?

Rôze rozłożył ręce ruchem bezradności.

— Dotąd nic—rzekł. — Czy pani nie słyszy, co się tam dzieje? Dwadzieścia deputacyj sekcji czeka na swoją kolej, a wszystkie przysły z nienawiścią Marata do umiarkowanych żywiołów Zgromadzenia, wszystkie ryczą: śmierć zdrajcom. Lękliwszego serca deputowani wymykają się chyłkiem, odważniejsi bronią się z rozpaczą gladjatorów rzymskiego *Collosseum*.

— Gdyby pan zechciał wysłać do mnie Vergniauda—mówiła pani Roland.

— Powiem mu, że pani na niego czeka.

I znów mierzyła salkę poczekalną niecierpliwymi krokami i znów przeżuwała przez całą, długą okrutną godzinę żółć upokorzonej miłości własnej i gorycz bezsilności.

Zjawił się Vergniaud. Błady był, oczy miał zmęczone, przygasłe, usta jego drgały nerwowo.

— Nie wiem, czy list pani poskutkuje — odezwał się głosem zmęczonym. — Konwent nie może już nie przeciwko samowoli Komuny, prawo leży u stóp gwałtu, zdeptane, oplute.

— Mógłby wszystko, gdybyście wy umieli być mężami—rzekła pani Roland z wyrzutem — ale wy... (wzruszyła ramionami). Wpuście do sali mnie, pozwólcie stanąć mnie na trybunie, a pokażę wam, jak się przemawia do narodu w takiej chwili. Gdybym nie przekonała tych zbójów z Góry, dałabym przynajmniej światu przykład odwagi. Zastanów się pan nad tem, panie Vergniaud, pomów o tem z kolegami.

Wzrokiem podziwu obrzucił Vergniaud odważną kobietę.

— W tej chwili nie mogę nic dla pani zrobić — mówił.—Musimy załatwić nasamprzód deputacje sekcji, co potrwa jakieś dwie godziny.

— W takim razie pośpieszę do domu, zobaczę, co się tam dzieje i wróce.

W domu czekała na nią dobra nowina. Jej mężowi udało się wymknąć niepostrzeżenie z mieszkania, zmylić czujność zbirów komitetu rewolucyjnego.

Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

— Osły! Nawet pilnować osaczonego zwierza nie umieją...

Ale ona musi widzieć się koniecznie z mężem, porozumieć się z nim, ułożyć dalszy plan obrony. Ukrył się niewatpliwie u któregoś z przyjaciół... Odnajdzie go... Z Paryża nie mógł uciec, sankiuloci bowiem zamknęli dziś wszystkie rogatki i opasali miasto podwójnym kordonem strażników.

Szybko wypila kieliszek wina, otuliła się w chustkę i wybiegła z domu. Fiakra wziąć nie mogła. Wóznicą mógłby donieść policji dokąd jeździła.

Ulice były już puste, ciche. We wszystkich oknach palily się lampy, świece, kaganki.

Paryż iluminował, cieszył się z czyjogoś zwycięstwa.

Z czyjogo?

Pani Roland owineła się szczelniej chustką. Zimny dreszcz wstrząsnął nią, mimo ciepły wieczór majowy.

Nie jej stronnictwo tryumfowało, bo gdyby się Zyronda była ostała na placu, nie byłaby się Komuna była ośmieliła wyciągnąć swoich szponów po jej małżonka. Nie radość, lecz strach przed sankiulotami zapalił te wszystkie lampy, świece, kaganki.

Pani Roland przycisnęła ręce do piersi.

O, jak jej dumne serce płakało?... Gdyby się ziemia chciała rozstąpić i wziąć ją w siebie, w swoje milczące łono, aby już nie nie czuła, nie widziała, nie słyszała.

Nie, nie... Ona nie może tracić odwagi, energii, w chwili, kiedy nad głową jej męża krają sepy terroru.

Otrząsnawszy się z pęt bólu, rozpacz, biegła szybko pustymi ulicami, pochyliwszy głowę, jak żołnierz, ruszający do ataku. Nikt jej nie zatrzymywał. Patrole nocne nie rozpoczęły jeszcze swojej wyzłej roboty.

Była w jednym przyjaznym domu... Nie zastała tam Rolanda... Znalazła go w drugim... Porozumiała się z nim, pożegnała... Może na zawsze...

Niezwykle długo trzymał ją starzec w objęciach, a jej serce biło młotem. Tak dobrym był dla niej mąż uwielbiający. Czując, że łzy palą ją pod powiekami, powstrzymała je siłą woli.

— Do widzenia, do widzenia...

Na ulicy obejrzała się uważnie. Nikt jej nie szpiegował. Nie mogła iść pieszo, nogi się pod nią uginały.

— Zawieź mnie do Tuillerjów, obywatelu—rzekła do fiakra.

Przed «Domem Narodowym» nie było już pik i bagnatów. Kilka tylko armat strzegło «świątyni prawa i wolności».

Spóźniła się. Posiedzenie Konwentu już się skończyło.

Na Placu Karuzelskim, dokoła drzewa Wolności, tańczyła gromada sankiulotów, rycząc Marsyljanke.

Aux armes, citoyens, formez vos bataillons,
Marchons! Qu'un sang impur abreuve nos sillons!

Wesoła hołotka obejmowała się, całowała, popijając gorzałkę z butelki.

Pani Roland cofnęła się. Któryś z tych patriotów mógłby ją poznać, a wówczas?... Nie chciała nawet odgadywać, coby ją wówczas mogło spotkać. Czytała w gazetach o tragedji Théroigne z Méricourt.

Zatrzęsała się, jak w paroksyzmie febry.

Wracała do domu wyczerpana. Było tych wrażeń za wiele na jej chore jeszcze nerwy. Dopiero wczoraj zwlokła się z łóżka po długiej chorobie, siłą woli zapanowała nad osłabionym organizmem, siłą dumy narzuciła sobie energję, sprężystość. Teraz, kiedy jej energja przestała już być na dziś potrzebna—tak miała—załamała się, jak podcięte drzewo.

W chwili, kiedy się zbliżała do bramy swojego domu, uchwycił ją ktoś z tyłu za rękę i szepnął jej do ucha:

— Uciekajcie czempredzej; Fouquier-Tinville czeka na wasze głowy...

Nie miała czasu przypatrzeć się nieznanemu przyjacielowi, bo znikł natychmiast na zakręcie ulicy. Widziała tylko plecy pośpiesznie oddalającego się mężczyzny. Byłaby się bardzo zdziwiła, gdyby wiedziała, że jeden z administratorów policji usiłował odwrócić od jej głowy miecz zemsty nienawiści stronnicej. Karol Cheval czekał na nią, aby ją ostrzedz.

W domu podano jej wieczerzę. Dotknęła ledwie potraw ustami. Nie mogła niczego przełknąć. Spać, spać, spać... Była znużona znużeniem żołnierza, który przemaszerował cały dzień w żarach dnia lipcowego, rzuca się na ziemię w obliczu nieprzyjaciela: niech mnie zabiją, niech mnie konie rozniosą na kopytach, wypocząć muszę...

Padła na łóżko nierozebrana. Zasnęła natychmiast, ale nie dobroczynnym, orzeźwiającym snem zdrowia, lecz tym niespokojnym, męczącym — wyczerpania nerwowego. W białym śnie majaczyła, że siedzi na brylantowym tronie, wiszącym na tęczy. Promienna aureola wieńczyła jej głowę, suknie jej mieniły się purpurą, złotem, drogimi kamieniami, dokoła otaczał ją lśniący dwór, chóry paziów śpiewały: potężna, wszechmądra, nieomylna Opatrzność!... Wtem zachwiała się tęcza, dwór i chóry rozplynęły się w szare, gęste, coraz gęstsze mgły, zewsząd ogarnęły ją czarne ciemności, nad jej głową rozwarła się ognista paszcza burzy, plując błyskawicami, piorunami, a ona leciała z góry na dół, w jakąś przepaść bez dna.

Obudziła się. Przy jej łóżku stał służący.

— Czego to?

— Deputacja Komuny czeka na panią w gabinecie pana—rzekł służący głosem cichym, drżącym.

Przetarła oczy. Jasny błysk oświecił jej świadomość. Zrozumiała... Przyszli po nią... Nie mogąc pochwycić Rolanda, mszczą się na jego żonie...

— Zaraz przyjdę...

Podniosła się z łóżka, zdjęła szlafrok, włożyła na siebie suknię, spakowała trochę bielizny, przyborów toaletowych i kilka książek.

Ręce jej latały, serce zdawało się skakać aż do gardła, zimny dreszcz pełzał po jej grzbiecie...

Nie, nie! Ci lotrzykowie z ratusza nie będą mieli przyjemności widzieć twogi Egerji Żyrondy...

Wypiła szklanke zimnej wody, przeciągnęła się, jak chłop po całodziennym młócce, odetchnęła głęboko. Była gotowa...

W gabinecie męża czekali na nią urzędnicy i żandarmi Komuny.

— Czem mogę panom służyć?—zapytała spokojnie.

Jakiś drobny, chuderławy człowieczyna, przepasany trójkolorową szarfą, z wyglądu były galganiarz, zamiatacz ulic, partacz rzemieślniczy, lub coś w tym rodzaju, odezwał się ze sztuczną powagą świeżo upieczzonego dygnitarza:

— Przychodzimy cię aresztować, obywatelko, i opieczetować twoje mieszkanie.

— Masz rozkaz?

Dygnitarz wydobyl z kieszeni kapoty papier i czytał mandat aresztowania.

Nie słuchała go pani Roland, nie była go ciekawa, wiedziała, że rewolucja umie więzić, zabijać i bez pisanych rozkazów. Żądała okazania papieru tylko dlatego, żeby zyskać na czasie, żeby mózgi się namyślić, jak zachować się w tej chwili stanowczej. Bronić się, protestować, czy poddać się bez oporu?

Obrzuciła badawczym wzrokiem urzędników i żandarmów. Jacy to ludzie? Widziała samych typowych sankiulotów z przybocznej gwardji Marata. Tych nie przekona słowo najgorętsze, najrozumiejsze, ci nie uwzględnią ani łez kobiety, ani kwilenia dziecka. Na powrót ją wezmą, gdyby protestowała, skopią ją, znieważą i zaciagną na szafot. Opór byłby daremny. Bezpieczniej bronić się nawet przed trybunałem rewolucyjnym.

— Czyńcie, co do was należy—rzekła głosem pewnym, gdy urzędnik Komuny skończył czytanie mandatu.

Z powagą, z namaszczeniem przykładal jeden z urzędników pieczęcie na okna, meble, szafy, skrzy-

nie, kufry, na sprzęty kuchenne. Nawet fortepian chciał opieczetować, widząc w nim coś podejrzanego, a gdy mu zwrócono uwagę, że to instrument muzyczny, wydobyl z kieszeni łokieć i mierzył go z dokładnością stolarza.

Długo trwała ta operacja. Cienie nocne rozproszyła tymczasem gwiazda dzienna, turkot wozów i szczekanie psów oznajmiały, że się miasto budziło. Z ulicy zaczęła wpływać do mieszkania pani Roland hałaśliwa fala ludzi. Wszyscy drapichruści ulicy zbiegli się, aby pochwycić jaką łatwą zdobycz. Obwachiwali meble, zaglądali do wszystkich kątów, szukali. Władza nie mogła im zabronić współdziałania w zabezpieczeniu własności «podejrzanego», byli przecież suwerenem, któremu wszystko wolno. Dym tytoniu, wyziewy niekapanych ciał i brudnych, zatuszczonych kapot zatruly powietrze.

Duszac się w tym smrodzie, otworzyła pani Roland jedno z nieopieczetowanych jeszcze okien i pila spieczonemi ustami świeży oddech wiosennego poranku.

Jakże ją ci ludzie torturowali... Miała ochotę rzucić się na ziemię i gryźć z bólu posadzkę, a musiała patrzeć suchem, obojętnym okiem przez kilka godzin na gwałt, zadawany przez wolność jej wolności osobistej.

A nad miastem jęczały znów dzwony alarmowe, a na ulicach warezwały znów bębny i uzbrojone kupy biegły krokiem szturmowym na miejsca zborne. Więc jeszcze nie zwyciężyła Komuna, jeszcze bronili się legalni wybrańcy ludu przed uzurpatorami z ratusza?

Każdy jęk dzwonu, każde uderzenie bębna waliły w piersi Egerji Żyrondy z siłą obucha. Żeby się już za nią bramy więzienia zamknęły... Nie wytrzyma dłużej...

Nareszcie. Ostatni garnek miał swoją pieczęć.

— Idziemy! — odezwał się drobny, chuderławy człowieczyna.

Szpalerem żandarmów przeprowadził panią Roland na ulicę, do powozu, otoczonego z obu stron uzbrojonymi sankiulotami. Tłum kobiet powital ją wrzaskiem.

— *A la guillotine!*

Z góry, pogardliwym spojrzeniem spętanej lwicy, obrzuciła stado hien i szakalów, opluwających każdą nową ofiarę rewolucji. Niedoczekanie twoje, żebyś ty, podły motłochu, pasł się widokiem mojej łzy, mojego bólu...

Aż do ostatniej chwili wytrzymała w roli «jednego mężczyzny w pośród Żyrondyków».

Rozwarły się przed nią bramy więzienia *Abbaye*, glucho dudniły koła powozu na brukowanym dziedzińcu, którego każdy kamień był przesiąkły krwią straszliwych rzezi wrześnieowych; prowadzono ją na piętro wazkami, brudnymi schodami, oddano w ręce stróżów okrutnej klatki, a w jej spokojnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, jej oczu nie zwilżyła ani jedna łza.

Dopiero, kiedy została sama, kiedy zgrzyt przekręconego w zamku klucza oznajmił jej, że znajduje się w więzieniu, odcięta od męża, dziecka, przyjaciół, od całego świata, trzymana, jak szkodliwy zwierz na łańcuchu, załamała się jej energia, omdlało jej męstwo...

Usiadła na krześle, oparła łokieć ręk o kolana, głowę na dłoniach i patrzyła przed siebie tępych wzrokiem osłupienia.

Co się to stało? Ona, Marja-Janina Roland, w więzieniu, a genjusz Wolności patrzy na tę zbrodnię obojętnie? Że lud paryski ciskał do lochów więzień i włókl na szafot króla, książąt, biskupów, jenerałów, duchowieństwo, szlachtę i bogate mieszczaństwo, naturalne to i potrzebne. Zwycięski niewolnik musi zniszczyć, zmiażdżyć swoich byłych panów, bo mo-

głoby im przyjść do głowy sięgnąć znów po swoje dawne przywileje. Ale dlaczego pastwi się ten lud nad nią, nad dzieckiem ludu, które nienawidziło, nienawidzi dotąd tak samo, jak on, zgniłej arystokracji, które pomogło mu zburzyć tron Burbonów i monarchję?

Była od pierwszej chwili rewolucji, nawet przed jej wybuchem, zarliwą patryotką, nieprzejednanym wrogiem kast uprzywilejowanych, wciskała z fanatyzmem doktrynerskiej nienawiści w ręce swoich przyjaciół zagiew wojny domowej: burzcie, palcie, zabijajcie! talentem swoim, energją swoją służyła namiętnie Wolności, nie sprzeniewierzyła się jej nigdy ani na jedną sekundę.

I za to?

Wryła palce rąk w bujne włosy, gryzła usta.

Za to odjęła jej Wolność wolność, prawo swobodnych ruchów, którem cieszy się najędźniejszy pies, robaczek nawet polny.

— Zbrodniarze, mordercy! — syczała przez zaciśnięte zęby.

Zbyt rozmiłowana w sobie, w swoich talentach i cnotach, zbyt pyszna, aby mogła myśleć i wnioskować spokojnie, nie umiała wnikać w nieubłaganą logikę czynów, przyznać się do winy. Nienawiść siała, nienawiść zbierała. Zbyt namiętnie, bezkrytycznie przywiązana do kultu Rozumu, nie chciała dostrzedz karzącej ręki Opatrzności. Jej własną bronią uderzała ją Najwyższa Sprawiedliwość.

W tej ciężkiej chwili odmówił jej Rozum, urodzony wróg wszelkiej pokory, jedynej, ostatniej pociechy nieszczęśliwych — nie pozwolił jej się modlić. Na jej rozpaczliwe pytanie: dlaczego, za co? nie odpowiadał, a jej krwawiącego się serca nie utulił w miękkiem, ciepłym objęciu rezygnacji.

Kiedy tak siedziała w niemem osłupieniu bezsilnego gniewu, miotały nią uczucia drapieżnego zwierzęcia, osadzonego po raz pierwszy w żelaznej klatce.

Gdyby mogła zburzyć pręty tej ohydnej klatki... Nie mogła — były silniejsze od jej woli, od jej dumy i nienawiści.

Z dworu, przez potężne mury byłego klasztoru, wsiąkała do jej więzienia wrzawa ulicy, miasta. W tej stłumionej wrzawie odróżniała wyraźnie odgłos dzwonów, łoskot bębnow i krzyk tłumów ludzkich.

— Jeszcze walka wre, jeszcze zмага się Komuna z Konwentem — pocieszała się. — Może jej przyjaciele zwyciężą, może rzuca swawolę kanalji pod królewskie stopy prawa...

O, gdyby zwyciężyli...

(DCN)

WACŁAW GĄSIOROWSKI

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

71)

Wachmistrz, poruszony słowami ciotki, ruszył do sypialni cesarskiej. Ciotka Anna pośpieszyła za bratanikiem.

— Chyba wszystko! Cztery poduszki! Miękkiejszych nie najdzie w całym mieście! Kolderka puchowa — kilimek przed łóżkiem... świecznik, miedniczka, mydełko stolupańskie! Obacz, jak pachnie!... Posłałam na pier-nacie!... A tu stoliczek sukmem obijany — co niebądź z drobiazgów położyć!... Drewno do butów... Zazdrocki nowiutki w oknach! Prześcieradło wyprawne Filipin kil... Wiesz, Mysztowt się ożenił!... A co ja się na-dalam!... Ot i teraz ma dąsy!... Kwiatusków kil... To i chyba?!...

Wachmistrz, który z zadowoleniem rozglądał się po pięknie ozdobionej komnacie — mruknął coś pod nosem. Ciotka się uraziła.

— Jędruniu, de, cóż ty chodzisz tak i bakasz pod nosem — rzekłbyś co nie bądź do rzeczy! Choć przekonaliśmy się, czy mu nie będzie za twardo!... Także maniera przyjechała!...

Wachmistrz próbował się usprawiedliwić, lecz ciotka Anna, obrażona, iż bratanek nawet na jeden wyraz uznania się nie zdobył dla jej trudów — szurgnęła spódnicami i wybiegła.

Pan Andrzej, zostawszy sam, znów zaczął rozpatrywać sypialnię.

Zdawała mu się zupełnie przystojną, a godną oczekiwanego mieszkańca. Ciotka Anna o wszystkim pamiętała — niczego nie pominęła. Każdy przedmiot bił czystością. Nawet kubeczek kryształowy postawiła! Toż jego własny kubeczek — dostał go na chrzciny od Sołohuba! Ot i z jego kubeczka będzie pił cesarz!... Ot, szczęście! Gdzie o takim szczęściu można było zamarzyć! Prosto — bajka!... Żeby tak w szwadronie powiedzieć, nie uwierza!... I jak ciotka umiała to wyspekulować!... Cicha, niepozorna niewiasta, a jak to ona wie, co cesarzowi trzeba!

Im bardziej wachmistrz rozpatrywał się w sypialni, tem zachwyt jego rósł dla zabiegliwości ciotki Anny.

Naraz, w pełni zachwytu, wzrok pana Andrzeja padł na ścianę, ponad łóżkiem. Ciarki przeszły wachmistrza — ściana była pusta!

Pan Andrzej potarł ręką czoło.

Jakże bo tak? — myślał sobie. — Przecież coś-by trzeba!... Wiadomo!... A to nawet nie uchodził! Łóżko, a nad łóżkiem goła ściana!... Ot ciocia, a taką sprawę przeoczyła! Wierzyć się nie chce! Dopieroby powiedzieli!...

Ta ściana pusta poruszyła pana Andrzeja do żywego. W pierwszej chwili chciał iść ciotki Anny szukać, lecz namyśliwszy się, postanowił samemu sprawę załatwić. W tym celu poszedł wachmistrz na górę, do komnatki bocznej, na piętorku, którą dawniej zajmował, a gdzie stało jego własne postanie. Z ponad postania swego zdjął zawieszony obrazik z Ostrobramską i, ukrywając go w zanadrzu mundura, chyłkiem do sypialni cesarskiej powrócił.

Tu wyciągnął obrazik, ucałował go, rozśmiał się z ukontentowaniem i, namacawszy pusty haczyk nad łóżkiem, zawiesił go. Zaczem spojrzął na ścianę i poczerwieniał.

Ha! toć jego to był własny obrazik, jego rodzony. Przed nim lata całe pacierze odmawiał, jemu chłopięce jeszcze zmartwienia zawierzał!... I przed tym obrazikiem dzisiaj, kiedy noc zapadnie — cesarz, sam cesarz...

Wachmistrzowi w głowie się zakręciło, oczy mu mgłą zasłyły, ugięły się kolana, głowę w koldrę wtulił i beknął...

Panu Andrzejowi aż samemu dziwnem się zdało takie rozmazanie, lecz co głowę podniósł, co ku wysrebrzonej twarzy cesarza Ostrobramskiej spojrzął, to mu znów lży jak grad padały na wąsiska.

Dwukroć podnosił się z kolan i dwukroć same mu się gięły.

Długo pan Andrzej zostawał tak w sypialni, aż poza oknami rozległ się przeciągły a dobrze mu znany głos trąbki.

Wachmistrz na równe nogi się porwał i wybiegł przed ganek. Na ganku stał Jerzmanowski, a w uliczce trzeci szwadron szwoleżerów zsiadał z koni.

(DCN)

Redaktor i wydawca BOHDAN KUTYŁOWSKI

